

DZIENNIK POKŁADOWY (wersja kapitańska)



Niedziela 6-07-2014

O godz.4-50 budzi mnie telefon od Wojtka
- stoję pod domem !!!

Zabieram pakunki, całuję Ziemię Słupecką i odjeżdżamy. Przemykamy się na Piotrków, Kielce, Sandomierz, Przemyśl z prędkością tratwy. Przysypiam, by się nie denerwować jak ci co za nami. W Przemyślu bierzemy hotel „Europejski” za jedyne 110 zł. Wojtek szuka parkingu strzeżonego, którego w okolicy brak. Przejęty że okradną mu samochód zostawia w końcu go pod hotelem i ziewamy nocą starówkę. Rano dopiero stwierdzi iż nie raczył zamknąć swej ukochanej CORSY. Po upalnym dniu w nieklimatyzowanym samochodzie zasypiamy bezproblemowo.

Poniedziałek 7-7-2014

Małe śniadanie w Przemyślu i przejazd wzdłuż Sanu, by sprawdzić stan wody i miejsce na wodowanie. San płytki nawet w Przemyślu z meliznami i wąską kaskadą pod mostem, ale do zaakceptowania. Za Przemyślem jeszcze gorzej, bo przebudowywany po powodzi stopień wodny najeżony skałami z dużym spadkiem. Obok wprowadzie przepławka dla kajaków, ale wiostem nie machniesz. Trwają prace budowlane i dla ryb wspaniałe, a dla nas przeszkoda nie do przejścia. Jesteśmy w kropce, bo nie wiemy czy szukać slipu w dole rzeki i odpuścić sobie Sanok, czy czekać na powódź, która nas przeniesie górą. Decydujemy się na złożenie wizyty u budowniczych, którzy obiecują pomoc w przejściu przeszkody w zamian za wspólne pływanie. Przejeżdżając następne mosty, przejścia promowe dochodzimy do wniosku, że ostatnim miejscem pozwalającym na wodowanie i dalsze płynięcie jest przejście promowe w Krzemiennej. Oglądamy jeszcze parę km położony w górę rzeki „Ptasi Uskok” i wzbiera adrenalina z chęci na przepłynięcie, bez względu na konsekwencje. Wybieramy się do Sanoka przez „Diabłą Górę”, gdzie nie uda się nam z tratwą nawet dojechać do brzegu. Sanok wita nas łagodnym podejściem przy CARREFOURZE z płycizną na lewym w pobliżu brzegu i stromizną na prawym lotniska. Wystające głazy z Sanu które czujemy w wyobraźni jak ranią miękkie podbrzusze naszej tratwy i głębia toni jaką widzimy po przekraczającym San panu i jego psie wymuszają na nas decyzję powrotu do Krzemienicy.

Szukamy noclegu

Wtorek 8-07-2014

Budzi nas ok. godz. 6-tej telefon od naszego przewoźnika. Tratwa jest na miejscu. Czekamy stosownej chwili by rozładował się ruch poranny (dojazdy do pracy) na przejściu promowym. Rozładunek idzie w miarę gładko. Sekundy decydują że nie zdążyliśmy podłożyć specjalnie przygotowanych wózków pod tył tratwy i ta zawisa z jednej strony na wodzie, z drugiej zapierając się o stromo dość opadającą końcówkę drogi, a nasze podwozie wisi kółkami nad rzeką. Tratwa ani drgnie, przejście zablokowane, a na obu końcach drogi zbierają się samochody chętne do przeprawy. Rzeka przy pomocy jednego końca dociska drugi do asfaltu. Siłowniczkiem 5-T Wojtek podnosi i przepycha tratwę krok po kroku co parę centymetrów w końcu zgromadzeni na brzegu a zniecierpliwieni a głównie uczynni , spychają tratwę wspólnym wysiłkiem. Przejście

promowe zostaje odblokowane. Żegnamy się z kierowcą ładując mu na lawetę samochód Wojtka i zabieramy się za przygotowanie tratwy. Pół dnia mocujemy się z rozsuwaniem pływaków, w końcu wspomagamy się wspomnianym wcześniej 5T siłownikiem dokonujemy dzieła ostatecznego. *Czeka nas pierwszy nocleg na tratwie.*

Środa 9-7-2014

Budzę się jak zwykle, przekonany że o 9-tej , więc odpuszczając sobie jeszcze godzinę na Wojtkowe sprzątanie ... a może i kawę do łóżka poda...? W końcu wstaję. Zegar wskazuje 6-50 i jestem załamany. Bierzymy się za dalsze pakowanie tratwy i co najważniejsze, montaż panelu fotowoltaicznego. Energii brak i regulator ładowania dziwnie się zachowuje mrugając wszystkim co ma zamontowane. Elektronika p..... ! Dzwonie do sprzedawcy, który sugeruje niedoładowanie lub przeładowanie akumulatora. Targamy akumulator na górkę do drogowców-marynarzy, włączamy ładowarkę, a ta gada że akumulator FULL. Podłączamy znów i zamierzamy rozładowywać go diodą LED, ale ta gaśnie. Wojtek bada go na zwarcie ...brak ducha.

-Mówiłem ci że akumulator jest do d...

- To ja mówiłem tobie to wcześniej –odpowiadam

Po ustaleniu kompromisu zaczynamy biadolić wśród miejscowych i zamieszkały nieopodal przedsiębiorca tartaczny i sympatyk wszelkich technicznych nowinek , który sam na swoim domku ma zainstalowane takie urządzenie pozbywając się rachunków za prąd, ratuje nas odstępując swój używany w przyczepie akumulator za zupełnie symboliczną cenę. Akumulator dostarcza nam osobiście zabierając nasz bezużyteczny, trochę rozmawiamy wymieniając poglądy i żegnamy się obdarzając go gadżetami w które zaopatrzyli nas sponsorzy. Dobieram się wreszcie do przesyłki kurierskiej jaka dotarła do mnie do domu, a którą żona zapakowała wraz z tratwą. Przesyłka zawiera coś takie z czymś takim co pierwszy raz widzę na oczy i nie wiem do czego służy. Tylko mój niczym nie kwestionowany geniusz doprowadza mnie do konkluzji iż to nie ja jestem właściwym adresatem, a mój kuzyn i firma IBIS. Telefon wyjaśnia wszystko, a IBIS zamawia kuriera (DHL), by odebrał. Ciekawe jak sobie poradził z adresem. Zakupy w odległym o 2 km sklepie i przesmaczny obiad o porze wieczornej w zajeździe WIKING przy promie kończy dzień.

Czwartek 10-7-2014

Rano słyszę Wojtka jak klnie, że gaz w zapalniczce się skończyli trzeba dokupić gaz by ją nabić, bo ani kawy ani herbaty nie będzie. Pod śpiworem duszę się ze śmiechu że chce podpalać gaz gazem. Za chwilę podsłuchuję rozmowę z żoną, jak Wojtuś wywnętrza się że promy pływają poprzecznie a nie wzdłuż rzeki. Na mój gust obydwójce mieli rację ,bo przecież mamy promy poprzeczne i podłużne. Ponadto to co poprzeczne i podłużne też zależy od punktu odniesienia . Uruchamiamy panel i ...wszystko gra. Mamy Internet, ładowanie komórek i oświetlenie. Wieszamy banery, flagi proporczyki , nazwę dumną a wielkopolską „MYRDYRDA” i nazwę naszego prowincjonalnego miasteczka z którego jesteśmy bardzo dumni „SŁUPCA” (w roku ubiegłym przepływając pod mostem w Poznaniu usłyszeliśmy głos obserwujących ...A CO TO JEST MYRDYRDA?... Zgroza !!!), odbierając w międzyczasie wkurzające telefony od przyjaciół „gdzie jesteście ?” Wszyscy dzwonią i wszyscy o to samo pytają jakby zмова jaka była, lub zamach. (teorię zamachu odrzucam z uwagi na mnogość tych teorii) Miejscowa ludność nas odwiedza chwaląc pomysł. Wizyty miłe i częste. Wszyscy są bardzo życzliwi i pomocni , więc z niczym nie mamy problemów. To ciekawe że na łódzie człowiek człowiekowi wilkiem, a na wodzie człowiek człowiekowi pluszakiem. Ok. godz. 16-tej odnajduje nas kurier i przesyłka wędruje pod właściwy adres. Wybieramy się do Dydni na zakupy i zwiedzamy przy okazji neogotycki kościół pięknie odnowiony i zadbane i napotkawszy miłego proboszcza krótko rozmawiamy o kościele , historii i regionie. Na koniec pogratulował

nam sposobu podróżowania, choć nic nie wspominaliśmy (z czego(tum chciał użyć „u diabła !”, ale się wycofał) to ludzie się nie spowiadają). Wieczór kończymy w pobliskim i zaprzyjaźnionym już zajeździe WIKING. Woda, która ubiegłego dnia podniosła się o 12 cm wróciła do stanu początkowego. Wiemy, bo wkręciliśmy na początku patyk w linię brzegową i teraz mamy wodowskaz.

Piątek 11-7-2014

Rano wstaje zwyczajowo w przekonaniu że o 10-tej (6-55). Wojtuś się kielczy i twierdzi że zresocjalizował mnie w zeszłym roku na Warcie. Nadrabiamy zaległości organizacyjne. Dzwoni telefon i miły głos z gminy Sanok w wyniku donosu naszego Burmistrza obiecuje materiały n/t gminy i regionu, żałując żeśmy nie w Sanoku. Kontakt z pierwszą gminą nawiązany. Wyciągamy rowery by obejrzeć najstarszą w Polsce cerkiewkę w Uluczu , gdy zaczyna się ulewa. Wbiegamy już nie tyle do zaprzyjaźnionego co do swojego baru WIKING ,wsluchując się z lubością w tupot kropeł spacerujących po plandecie namiotu. Po czwartym piwie spostrzegam, że poziom wody podniósł się o metr. Przerażony i trzeźwy Wojtek sprowadza mnie do niższego poziomu. Piszemy co się wydarzyło, bo do tej pory nie było na to czasu z nadzieją na głębszą wodę. Nagle pojawiają się trzech przemoczeni kajakarze błagając o jakiś nocleg, na co gospodarz nie jest przygotowany, ale trwają negocjacje noclegu pod namiotem barowym. Kajakarzom proponujemy nocleg w komfortowych warunkach (prysznic, pisuar, szerokie łóża) na tratwie. Z wdzięcznością korzystają z zaproszenia i robimy sobie wieczorek zapoznawczy. Są z Lublina i Krakowa. Spływ miał być kilkunastoosobowy, ale jak to bywa została najtwardsza trójka: Adam, Kuba i Franek. Wieczorem zamieniamy nasz salon w łóże piętrowe i goście zasypiają wraz z nami.

Sobota 12-7-2014

Wstaję o 7-mej jako pierwszy, bo dospać już nie mogę. Zsiadamy wszyscy do wspólnego śniadania. Spoglądamy na rzekę oczom nie wierząc. Na promie woda weszła na asfalt, nasz wskaźnik poziomu wody zalany lub odpłynął. Jesteśmy metr wyżej. Trzeba korzystać z wody. Kajakarze odpływają przed nami jeszcze raz dziękując „za uratowanie życia” co jest przesadą acz miłą. My z Wojtkiem wyruszamy jakąś godzinę później. Woda niesie nas bystro do przodu raz bokiem, przodem, raz tyłem. Jest wartka i zmacona. Próbuje wiosła bez efektu, pychy też walka z wiatrakami, zwłaszcza, że wiaterek dmucha zmiennie. Łądujemy w krzakach, omal nie tracąc rowerów. Nurt naraz wali w krzaki raz wypycha na wodę. Decydujemy się poddać rzece, która nie mając litości robi z nami co chce. Słyszymy z oddali głosy : „-woda zmyła jakiś camping i płynie rzeką !”. Gdzieś przed Nozdrzcem staramy się uruchomić silnik mimo częstych płycizn . by zapanować nad naszym pojazdem. Mocujemy silnik, ale spada nam linka steru z rolki i gdzieś się zakleszcza. Ster zablokowany. Czym prędzej wyciągamy silnik by go nie utracić w tym tańcu na wodzie. Dopływamy do Dynowa, więc rozglądamy się za miejscem do zacumowania. Po lewej nurt ostry, po lewej tak samo i żadnej naturalnej zatoczki z osłabionym nurtem. Za mostem w Dynowie wysepka. Decydujemy się iść lewą odnogą , zwłaszcza że i wiatr tak dmucha i pomagamy mu wiosłami, wiatr się nagle zmienia i pcha nas prosto na ową wysepkę mimo naszych rozpaczliwych wysiłków. Łądujemy bokiem na jakiejś kłodzie a prąd wody dopycha do wyspy. Tratwa która jak się okazało waży 2,1 T jest nie do ruszenia. Na lewym brzegu zbierają się kibice. Wysuwam kółka od podwozia i koła natrafiają na opór, prąd wody zaczyna podmywać tratwę, ale ta ani ruszy. Odsuwamy kłodę i pchając koniec skręcamy ją lekko na kołach, by ustawiła się z nurtem, chowamy podwozie. Wojtek z pychem na tratwie, ja w wodzie, wypychamy ją teraz na zewnątrz, resztę robi za nas rzeka, obraca tratwę dwa razy i porywa dalej. W ostatniej chwili udaje mi się wskoczyć na pokład. Udało się, choć prawie straciliśmy nadzieję .

Dalej jest normalnie czyli obroty objanie o brzegi i przy którejś próbie ratunku łamię pych. Próbuje się chwycić gałęzi gdy woda pcha nas na brzeg, ale w rękach zostają jedynie liście. Rzucamy małą kotwiczkę, ta wraca z krzakami. Wojtek rzuca 15 kg pług (niestety ponad relingami i kotwica naprężona nam je wyłamuje, ale stajemy -niestety- za daleko brzegu i nie ma się czego chwycić, więc wybieramy kotwicę by rzucić ją w odpowiednim momencie. Jesteśmy w pobliżu drzewiastego brzegu więc rzucam kotwicę zważając by pod relingiem łańcuch się napina, czujemy szarpnięcie i pozostaje nam tylko skrawek łańcucha. Jesteśmy bez steru kotwicy i jednego pycha i nie możemy dobić do brzegu. Wojtek zaczyna wyznaczać wachty, bo za 60 km jest próg pod Przemyślem na którym powinniśmy się zatrzymać. Trzeba przyznać, że jesteśmy lekko spanikowani. W okolicy Bachorza, nie bardzo za naszą przyczyną (Być może OPATRZNOŚĆ za udzielenie schronienia turystom) woda wypycha nas w jedyną chyba na całej trasie zatoczkę i lądujemy na wędkach dwu starszych hobbistów. Zatoczka jest mikra, ale prąd nie wyrывa. Cumujemy się do ogromnego drzewa, przepraszając wędkarzy, ale nic nas nie zmusi dziś od szukania noclegu gdzie indziej. Zakładamy że woda opadnie a nie podniesie się, bo docisnie tratwę do konaru i stracimy panel. Wojtek wyznacza sobie nocne sprawdzania.

Bilans dnia:

- Złamany pych
- Zniszczony reling
- Zablockowany ster
- Utracona Kotwica

Jak na jeden dzień, to zbyt dużo

Wieczorem telefon od zaprzyjaźnionych kajakarzy „- czy możemy w czymś pomóc ?”

Są za nami 4 km. W pierwszej kolejności popijamy gorącą herbatę bośmy przemoczeni i wychłodzeni. Naprawiamy jeszcze zablockowany ster, bo teraz tylko nadzieja na manewry w silniku. Bez niego nie da się dobić do brzegu. Porządkujemy pokład, bo wiele na nim rzeczy zbędnych i przeszkadzających. Resztę zostawiamy na jutro. Wojtek jeszcze coś opisuje, ale ja jestem zupełnie wykończony. Obydwaj cieszymy się życiem, jakbyśmy urodzili się na nowo.

Niedziela 13-7-2014

W nocy Wojtek budzi się sprawdzać stan wody. Rano stwierdzamy że woda rzeczywiście opadła, ale zamiast uratowanego panelu wisimy barierką zaczepieni na konarze drzewa. Na szczęście mamy piłę.

Mocujemy silnik, odcinamy gałąź na której wisimy, badamy głębokość (pow. 1 m), jeszcze tylko przewieszamy rowery nauczeni doświadczeniem by w przypadku kolizji ich nie utracić i ruszamy.

Tu zaczyna się opowieść o lekkim i przyjemnym pływaniu z widokiem na okoliczne wzgórza, między którymi wiję się rzeka.

Płynąc ciut szybciej od rzeki wydaje nam się, jakbyśmy poruszali się leniwie i tam gdzie chcemy.

Do czasu.

W Dubienku wypłynienia. Słyszymy jakiś chrobot i silnik gaśnie. Wojtek leci na tył i podnosi silnik... słyszę jego krzyk: „straciliśmy silnik”. Biegnę na tył, silnik jest, spadł z niego kołpak, ale nie uruchamia się. Blokujemy silnik, by nie opadł i biegniemy na przód, bo przed nami burząca się woda.

Głębokość raptem na pół wiosła. Zahaczamy o kamień, ale tratwa się na nim obraca i schodzimy. Pozostaje nam pych i wiosła.

3 km później widzimy wystającą kłodę i jak w poprzednim przypadku, wiatr złośliwie wymusza na niej lądowanie. Jest środek rzeki i dość głęboko ok 1 m, ale nie tu gdzie jesteśmy.

Pierwsze działanie – wypuścić koła i przekręcić tratwę, ale koła natrafiają na głębię i efekt żaden.

Biorę złamany pych i staram się obrócić trochę na kamieniu, bo ręcznie ani rusz i złamany pych. Wojtek wskakuje do wody i przy pomocy złamanych końcówek pycha udaje nam się przekręcić tratwę, którą obraca nurt, wskazujemy na pokład już zadowoleni, tratwa obraca się zmieniając położenie, tył unosi się do góry, kłoda jest za nami o 0,5 metra, ale tratwa stoi w miejscu jak wmurowana. Badamy kijem dookoła, wszędzie metr głębokości. Próbuje pychem przekręcić, tratwa się obraca, ale nic poza tym.

Wojtek w końcu odnajduje przyczynę. Pod końcem lewego pływaka jest skała dość rozległa ale schowana pod tratwą. Na domiar gdzieś z przodu Wojtek zaglądając pod prześwit widzi kłodę lub kamień gdzieś z przodu tratwy. Włazę na nieodległy korzeń, na którym przed chwilą byliśmy i staram się spychać, przekręcać i podnosić. Pomagam sobie kołkiem. Nic.

Tracę siły i muszę odpocząć. Wojtek proponuje obciążyć przeciwległy koniec tratwy.

Podskakujemy sobie.... I nic tyle, żeśmy sobie poskakali. Z przerażeniem patrzymy, że woda powoli opada, więc w tej sytuacji przyjdzie nam czekać na środku rzeki na wodę.

Minęła godzina zmagania bez efektów. Można walczyć, ale trzeba mieć pomysły.

W zakamarkach odkrywam ostatnie piwo. Odpoczywam –myśląc. Podskakiwanie Wojtka na tratwie nic nie da, bo to chudzina wielkości wirusa, ale za nami płyną Franek, Adam i Kuba. Z ich pomocą może dałoby radę. Telefon do nich i po kilku próbach wreszcie ktoś odbiera ... są rzeczywiście za nami, ale na wycieczce w górach, obiecują pomóc jak tylko wrócą.

Mamy więc rozwiązanie.

W międzyczasie opracowujemy warianty postępowania, podnoszenie wspólnymi siłami, dotapianie przeciwległego końca i uruchomienie wciągarki zaczepionej o drzewo na brzegu (zapomnieliśmy zabrać śrub, by ją przymocować).

Czas mija i woda znów opadła. Decyduję się jednak działać w oczekiwaniu na pomoc, by nie czuć się jak póltusza na haku.

Staramy się przepychać koniec tratwy tak, by ustawić się w poprzek nurtu. Udaje nam się odchylić o jakiś metr, ale dalej brakuje sił. Pot się z nas leje, woda opada a kajakarzy nie widać. Albo nasze zabiegi coś dały albo woda opadła, bo widzę fragment skały na końcu pływaka się pod wody. Wyłazę na zewnątrz szukając dobrego oparcia.

Dobry punkt oparcia mi dajcie, a ziemię ruszę z posad.

Wstawiamy podnośnik 5t. pod tratwę i staramy się podnieść. Działa, lekko pływak się podnosi i w tym momencie tratwa zaczyna się obracać i spada z podnośnika... kilkadziesiąt takich prób i efektu nie ma, nawet jeśli Wojtek pychem blokuje obracanie...

Wstawiamy między pływak a skałę resztkę ułamanego pycha, może przy podnoszeniu wklina się i zadziała jak rolka.

Woda opadła i odsłoniła bardziej kamień dość szeroki i jak to w Sanie lekko najeżony ostrymi końcami. Staram się zbadać miejsce do ustawienia podnośnika, ale wpadam nogą między skałę kalecząc tę samą nogę i zdzierając stare strupy z kolizji z liną wciągarki podczas rozładunku.

Wojtek robi mi opatrunek korzystając z apteczki zasponsorowanej nam przez kolegę „Magistra spod Moździerza” (nasz rocznik maturalny 69) i walczę dalej.

Znajduję w końcu punkt i podkładając siłowniczek pod wystającą rurkę relingu, uwiązany przez przewidującego Wojtka cumą do tratwy, staram się podnieść osiadłą na rozległym

wypłaszczonym głazie „Myrdyrdę”. Przy podnoszeniu tratwa nie skręca, więc punkt dobry. Po którejś z rzędu operacji zauważam, że tratwa odsłania co raz więcej głazu, jeszcze jedna próba i prąd znów ją porywa. Szybko wskazuję, nie przejmując się uwiązaniem na linie podnośnikiem... wskazuję na tratwę.

Nie wiem jak długo to trwało, ale woda opadła w tym czasie o dobre 10 cm. Myślę, że ponad 4 godziny zmarnowaliśmy w walce z żywiołem. Dzwonimy do kajakarzy, że sytuacja opanowana. Płyniemy dalej, ale po przygodzie, która nas wykończyła cumujemy przy najbliższej okazji mocno dociskając do brzegu tratwę, by i rzeka ją dociskała.

Z jedzenia są puszki rybek w oleju, więc jemy jako obiad, puszka na szczęście już bez rybek wypada i cały olej ląduje w lewym bucie. Płukanie nic nie daje, więc wlewam do buta ludwika, co załatwia sprawę. Wojtek wyrusza na rozpoznanie, bo wieś jakaś w pobliżu, ale nie przebija się przez nadbrzeżne chaszczce.

Sprawdzamy silnik i okazuje się, że kamień zablokował śrubę. Usuwamy kamień i silnik odpala.

Decydujemy się na dalsze płynięcie i cumowanie przed następnym bystrzem, bo nie mamy ochoty na walkę z pływaczami pod wieczór.

Płyniemy środkiem rzeki na silniczku i znów jest miło. Bystrzy nie widać, ale nagle silnik gaśnie. Sprawdzam i znów kamień klinuje śrubę. Śruba, która była przerobiona na uciągową przy pomocy żywicy przez ludzi, z którymi się w zeszłym roku zamieniliśmy silnikami, wróciła do stanu poprzedniego i świeci golizną, ale nadal działa.

Płyniemy zmiennie na wiosłach lub silniku. Wiatr się wyciszył przed zachodem słońca więc płyniemy równo, często badając głębokość.

Cumujemy przy najbliższej okazji mocno o zachodzie słońca, osiągamy prom w Babicach, gdzie nocujemy.

Poniedziałek 14-07-2014

Po przeżyciach dwu dni ostatnich mały luz. Słońce świeci, więc ładujemy ogniwem fotowoltaicznym laptopy, komórki, tablety... w międzyczasie opisując dzień miniony.

Coś w nas się zmienia. Wojtek zaczyna wszystkiego szukać (bałaganiarz), a ja rozpisuję jeden dzień na 7 stronach. Zupełnie jakbyśmy się zamienili stronami.

Przepisuję bażgroły do Worda, gdy Wojtek wyrusza ze śmieciami do sklepu (jedyne miejsce dotąd, gdzie pozwolono nam je wyrzucić). Przesyłamy jeszcze materiały do Natalki i bierzemy się za montaż prysznicza.

Prysznic, owszem, podaje wodę, ale kropelkowo. Wojtek zrezygnowany złazi z dachu i wtem zaczyna się ulewa. Namydłony Wojtek korzysta z prysznicza „made in niebo”.

Zaczyna być burzowo, więc czekamy na stosowną porę i licząc na wzrost poziomu wody.

Skądś słyszę Ahoj i tak samo odpowiadam. Osób nie widać, głosy słychać. Z moim jednym uchem nie wyczuwam kierunku głosu. Z za pleców od strony wody wyłażą nasi kajakarze, którym wreszcie udało się nas dogonić.

Pogoda się poprawia, więc decydujemy się razem z nimi płynąć do następnego promu.

Adam i Franek asekurują nas płynąc kajakami a Kuba przesiada się do nas.

3 osoby na pokładzie to zupełnie inne pływanie, bo jedna osoba jest mniej obciążona. Głębokość od 0,3 do 1 m., więc rzadko uruchamiamy silnik, bardziej dla sprawdzenia go niż z potrzeby.

Jest popołudniowo i bezwietrznie, więc płyniemy spokojnie od czasu do czasu machając wiosłami. Ok. 8-ej dobijamy do promu w Krzywczu.

Kajakarze rozbijają namioty, my robimy posiłek z niesolonych klopsów i ... sen.

Wtorek 15-07-2014

Poranek zastał nas we mgle i ledwie widocznymi brzegami rzeki. W krzakach gdzieś pitolenie, ćwierkanie, kumkanie, bzyczenie tzw. przyrody.

Wraz z podnoszeniem się mgły zaczęły otwierać się coraz bardziej rozległe widoki, zalesione wzgórza i te uprawne poprzecinane w różny sposób i w różnych barwach z domkami na wzgórzach.

Woda opadła znów 5 cm.

Adam, Kuba i Franek kończą spływ. Zapoznają nas jeszcze z kolegą, który przyjechał odebrać kajaki i zasięgamy od niego informacji o rzece. Spotkamy się pewnie z nim jeszcze, bo na jego adres będziemy chcieli zamówić nową kotwicę.

Pan z promu bierze jedną z naszych lin i przeciąga tratwę na drugi brzeg, bo nurt tam głębszy. Wypływamy zahaczając o drzewo, które stara się nam zabrać przymocowany na dachu ponton, ale to jedyna wpadka.

Dalej, to marzenie.

Rzeka jakby bardziej leniwa z gł. ok. 30 cm.

Gdzieś w górze szybuje sobie para orłów, kaczek jak na całej trasie sporo i to z młodymi.

Więcej zaczyna być czapli i to z przewagą białych które na Warcie były rzadkością.

Zaskakuje nas iż białe współdzielą zgodnie łowisko z czaplami siwymi. Uczcie od przyrody rasiści ! Bociany stwierdziły też, że ich obecność nad Sanem jest niezbędna.

Upał zaczyna nam doskwierać, bo zbliża się południe, więc przy najbliższym moście cumujemy do nadbrzeżnej ławeczki, która stoi na gruncie prywatnym.

U gospodarza (nasz rówieśnik) tankujemy wodę a później z całą Krasieńsko-Warszawską rodziną od wnuczek do dziadków rozmawiamy a właściwie odpowiadamy na pytania.

Postanawiamy zatrzymać się i upał przeczekać, bo do Krasiczyna jakieś 5 km., a Wojtek właśnie opisuje sobotę.

Jest kawa, brak piwa. Jest upał, brak wody w rzece. Czyli normalność.

Właśnie dociera do nas sms „stan wody w Przemyśle 62 cm., ubyło 53”!

Dociera do nas Wiesław -hanys zabrzański z działki obok i mile gadamy z tym pierunem pierunowanym , ale (tu po wielkopolsku..) istna go zabiera.

Startujemy do Krasiczyna, by pozwedzać i popstrykać przepiękny park położony obok.

Cumujemy tuż pod zamkiem i pędzę na skrzyżowanie po piwo z odkładającą się rosą na zewnętrznych ściankach mego ulubionego napoju.

u..... teraz kurs na park. Wizyta w sklepie , kurs na tratwę i sen.

Środa 16-07-2014

Wstaję chyba późno, bo siedziałem jeszcze do 2 w nocy przy ognisku, na które zaprosiła mnie trójka studentów. Były kiełbaski i rozmowy.

W pewnym momencie zadają mi pytanie czy zgadnę ich wiek. Mówię, że 25 i śmieją się, że ich tak postarzałem. Odwracam pytanie i słyszę w odpowiedzi 40. Przypomniałem sobie gdy byłem w wieku maturalnym, a moi starsi o 5 lat kuzyni, byli jak emeryci. Wymieniłem swój wiek, ale nie zrobiło to na nich wrażenia... Pewnie jak kiedyś ja ...40 czy 60co to za różnica.

W planach zwiedzanie zamku krasicyńskiego, ale bez pośpiechu... Wojtek walczy z własnymi i wielokartkowymi opisami.

Ładujemy elektronikę.

Pałac właściwie a nie zamek jest odremontowany i imponujący, ale ze starego wyposażenia niewiele zostało. Cywilizacja wschodu w latach 40-tych wypaliła w kominkach co wypalić się dało. Postanawiam nie jeść już ruskich pierogów.

Kończymy zwiedzanie wchodząc na wieżę zegarową by porobić zdjęcia okolicy, ale bateria się kończy i zostają tylko widoki w oku.

Nadchodzi burza.

Mała przekąska i powrót na tratwę przez teren gminny z boiskiem pięknie wystrzyżoną trawą i miejscem na ognisko. Nawet dwie toy-toy stoją, ale w pokrzywach gęsto zarośniętych i służą jedynie żukom, muchom, itp.

Wstyd gmino Krasieczyn, by przy tak pięknie zadbanym obiekcie jedna z najbardziej dla turysty upragniona rzecz była tak potraktowana.

Po obiedzie nie mam ochoty na pływanie a na lekki sen. Decyduję o godzinnej sjeście mimo buntu załogi, która stwierdza, że nie wypłyniemy i kończy opis dnia.

Odpoczynek dobrze robi, a burzowe chmury rozpraszają się. Zaczyna się bardzo przyjemny bezwietrzny wieczór. Godz. 18 zaczynamy wypływać na lekką 1-godzinną trasę.

Mijamy kładkę w Krasieczynie, rozmawiamy ze stojącymi na brzegach i 500 m później przy próbie ominięcia wysepki lądujemy na mieliźnie wybierając niewłaściwą drogę.

Woda płytka na 10 cm. I to prawie wszędzie, w drugiej odnodze na ok 20 – tu.

Używamy desek, kołków, pomagamy sobie nurtem. Nie jest tragicznie, ale wymaga czasu i siły. W ostateczności ściągnie nas lina wciągarki przymocowana do drzewa, więc nie staramy się pomagać sobie wysuwaniem podwozia. Przy tym zanurzeniu tratwa nie waży już 2 t a na pewno 500.

Podłożem są małe kamienie a nie skały więc lepiej się wszystko przesuwają i obracają. Powolutku udaje nam się przemieścić i skierować w stronę drugiego nurtu, gdy słyszę jakiś hałas, a później jakiś bulgot i dziwny zapach. Czyżby opona w podwoziu?

W pływakach mamy zamontowaną butlę 11 kg gazu i myśl: rozpruliśmy na skale butlę!?

Krzyczę do Wojtka, że straciliśmy gaz. Wojtek biegnie, odkrywa schowek i zakręca zawór butli. Urwał nam się reduktor, została z niego tylko nakrętka na butli. Wyciągam butlę nie przejmując się na razie, bo butla cała. Nie będzie kolacji, ani ciepłej kawy.

Spychamy tratwę dalej, bo to nasz problem na teraz.

Udaje się. Płyniemy jednak dalej rzeką, która ma zmienną prędkość i głębokość.

Zmarnowaliśmy trochę czasu, więc zaczynamy rozglądać się za cumowiskiem.

Przepełniliśmy zaledwie 6 km....a miał to być spacer...

Jesteśmy daleko od wsi, bez chleba (bo nie było rozkazu), bez gazu.

Przed nami Przemysł z 36 cm wody, która opada.

Czwartek 17-7-2014

Rano z braku gazu zalewam Neskę wczorajszym wrzątkiem. Amatorowi herbaty zalecam zaparzenie w ten sposób swojej ziołowej smyczy... nie kojarzy, więc chyba jeszcze wcześniej.

Wyjście na brzeg niebezpieczne i strome. Potrzeba matką wynalazków więc wynajdujemy latrynę z bidetem. Stosowną instrukcję wywieszamy na ścianie dla innych współpływaczy.

Do Przemysła niewiele pozostało kilometrów i spokojnie na wiosłach i pychach, bo głębokość ok. 50 cm, posuwamy się leniwie rzeką.

Wiemy o najbliższej mieliźnie, więc zgodnie z sugestiami trzymamy się 10 m. od lewego brzegu i przechodzimy przeszkodę bezproblemowo. Wiatru nie ma, bądź niewielki. W górze szybują dwa orły, które łapiemy w obiektywy. W powiększeniach zresztą to sprawdzimy.

Na drugim bystrzu zahaczamy o kamień i stajemy, ale to dla nas nie przeszkoda... lekki obrót tratwy i płyniemy dalej.

Na trzecim kotłuje się woda i widać poprzeczne progi. Wody jednak na tyle, że czujemy tylko kamienie, gdy tratwa huśtając się na spienionej wodzie zaczepia o nie, ale za chwilę fala podnosi tratwę i tak przepływamy.

Końcówka Sanu co raz głębsza i tracimy kontakt z gruntem, więc włączamy silnik, bo znad Przemysła nadchodzą chmury.

Widzimy już pierwsze domy, więc cumujemy i idziemy z wizytą do sklepu. Stąd niedaleko do adresu, pod który miała być dostarczona nowa kotwica. Przyjaciół przedsiębiorcy kajakowego jeszcze jej nie otrzymał, ale wskazuje nam lepsze miejsce i pomoc wszelaką.

Przecumowujemy tratwę 500 m. dalej a nasz nowy kolega wykręca ze swojej przyczepy reduktor gazowy i go nam daje, więc możemy zrobić sobie gorącą herbatę.

Jesteśmy blisko ulicy, więc co rusz mamy wizyty zainteresowanych. Wojtek nie ma kiedy opisywać wszystkiego, więc jak zwykle będzie miał zaległości.

Bogaci w gaz (możemy zaproponować kawę) zapraszamy kierownictwo budowy przepławki, która dla naszej tratwy jest zaporą nie do przejścia.

Gościmy ich i ustalamy sposób przerzucenia przez stopień wodny tratwy dźwigiem, który stoi na budowie. Operację musimy wykonać jutro, bo pracownicy rozjeżdżają się na weekend do domów.

Długa rozmowa z Wieśkiem, który przysiadł się do nas i opowiadał jak opiekował się kiedyś jachtem słynnego kpt. Henryka Jaskuły i za chwilę wizyta naszych nowych przyjaciół. Grześ z żoną i sąsiadką (przyjaciół przedsiębiorcy kajakowego Piotra) z ciastem i pięknej urody bimberkiem własnej roboty. Miłe, długie i pełne życzliwości rozmowy.

Śmiechy trzęsą tratwą „Myrdyrdą” a czas nam mija prawie do północy. Żal się żegnać, ale pewnie to nie ostatnie spotkanie.

Piątek 18-07

Wczesna pobudka, bo weekend się zbliża i musimy przerzucić tratwę. Na 9 musimy być gotowi, bo przerwa w betonowaniu. Część rzeczy zostawiamy u Grzesia, podrzuci nam przyczepkę, gdy przyjedzie na grilla, którego zamierzamy rozpałić na tratwie.

Przepływamy pod larsen zapory i składamy tratwę. Tratwa nie daje się złożyć jak do połowy pływaków. Nie ma sensu męczyć się i tracić czas, więc postanawiamy przenieść pół złożoną i blokujemy tylko możliwość złożenia się podczas przenoszenia.

Akcja przebiega sprawnie, tylko podczas podczepiania haku wpadam do dziury w bocznym pływaku, która jest wycięta na koła (Wojtek zaliczył taką wpadkę już w Słupcy). Zdzieram całe udo, ale co tam- zagoi się.

Pan z wodociągów zaczyna się pytać o jakieś pozwolenia, ale to kierownik budowy, na szczęście, jest dziś gospodarzem terenu.

Tratwa szybuje nad najeżonymi kamieniami i stawia nas na placu budowy. Wojtek wysuwa podwozie i mamy własne kółka. Zastanawiamy się gdzie zaczepić wciągarkę, ale chłopcy z budowy chwytają ją po bokach i tratwa sunie te 200 metrów na drugi koniec pod przeciwległą ściankę Larsena. Tu dźwigowy Franek załatwia ostatnie sprawy wrzucając tratwę do wody. Akcja trwała w momencie przestoju budowy, bo w oczekiwaniu na beton.

Postanawiamy na jutro zostawić zwiedzanie miasta i grill z nowymi przyjaciółmi i ponaprawiać wszystko co się da. Mamy jeden rower i wybieramy się na pierwszy od dwóch dni ciepły obiad do odległego ok. 5 km centrum. Wojtek rowerem, ja pieszo.

Nadarza się taxi, więc mijam Wojtkę po drodze i czekam pod restauracją. Jemy smacznie i nietanio, ale dziś dzień szczególny bo udało się bezpiecznie pokonać przeszkodę nie do pokonania.. Wracamy na tratwę podobnie i zajmujemy się sprawami gospodarczymi.

Sobota 19- 07

Od rana dalsze porządkowanie na tratwie. Wojtek wyżyma pranie zrobione wczoraj, a rano nasiąkłe mgłą i rosą.

Boże!!! Czyżby pływanie miało się składać z ciągłego sprzątania?

Po trzeciej kawie zaczynam otwierać oczy i widzę jak Wojtek kroi pajdę na 2 cm i kładzie na nią 3 cm pomidora (niby plasterek), sól, pieprz, i rozdziawia gębę tak szeroko, że górna warga przykrywa mu oczy, i macając językiem czy przypadkiem pomidor mu się nie zsunął. Kłapie szczęką jakby miał w niej zamontowany siłownik, pozostawiając na przodzie dwie sporej

szerokości bruzdy po górnych siekaczach. Na szyi powstaje sporej wielkości wybrzuszenie, powoli przesuując się ku drugiemu końcu jego ciała.

Jak ja lubię obserwować przyrodę!

Siadam do komputera by popłacić rachunki, a Wojtek wsiada na rower by zamówić w Przemyślu nową baterię do swojego laptopa.

Zostaję sam. Mocuję, przykręcam, przenoszę i po powrocie Wojtka odbijamy, by przenieść się bliżej centrum.

Pierwszą mieliznę zaliczamy już po 100 metrach, ale po doświadczeniach minionego czasu coś to za przeszkoda.

Cumujemy niedaleko pierwszego mostu, ruszając w Stary Przemyśl.

Tu miasto kipi i pulsuje jak bystrze w rzece. Gwarno i tłoczno, bo Przemyśl świętuje 100-lecie twierdzy. Prowadzę Wojtka po uliczkach, które znam i tych, których jeszcze nie poznałem. Widzę jak Wojtek zaczyna oddychać miastem, którym jest zauroczony. To też jest miły widok.

Miasto jest jak narkotyk i upaja wyglądem starych kamienic i atmosferą. Nie sądzę, że jest to uleczalne.

Goni nas czas, bo o 20-tej jesteśmy umówieni na grilla na tratwie z Grzesiem, Asią i Piotrkim.

Z daleka widzę przy tratwie policję i cywila. Miejskowa młodociana żul chciała nas okraść, cywil sprowadził policję i ci na nas czekali pilnując otwartej tratwy.

Trochę będzie mi teraz ciężko przekonać Wojtka do pełnej otwartości.

Stratą jedyną jest nóż-finka. Własnoręczne dzieło przyjaciela, który nie żyje i jedyna po nim pamiątka. Żal, ale nóż to nie Leon.

Pierwsze uruchomienie grilla ogniskowego a dostosowanego do naszych potrzeb na wodzie się sprawdza. Gaworzymy sobie, a Piotr zwierzę muzyczne nie wypuszcza z ręki gitary. Kończymy późną porą i chyba nie koniec kontaktów, nawet po opuszczeniu Przemyśla.

Niedziela 20.07.2014

Budzimy się na oczach Przemyśla i zaczynają się odwiedziny przechodniów, pytania, rozmowy.

Niektórzy z wizytą na tratwie, inni tylko zagadują. Pojawia się Pan muzealnik, historyk sztuki i żeglarz, z którym długo sobie gawędzimy; później pojawia się strażnik miejski, też żeglarz. Obaj panowie się znają. Obdarowujemy ich materiałami, zwłaszcza „szopenerii.pl”, chcą więcej, bo mają zaprzyjaźnionych wodniaków.

Wpadają Asia i Grześ po paczki ze zbędnymi rzeczami, które chcemy wysłać do domu.

Wojtek rusza do Muzeum Dzwonów i Fajek, ja zostaję by nie było zaległości w pisaniu. Jakiś przechodzący działkowiec zostawia nam papierówki. Wraca też strażnik i przynosi breloki. Dzwoni

redaktor miejscowej gazety (wczoraj Wojtek udzielał mu wywiadu) z pytaniem, o której odpływamy.

Wyruszamy o 16 30 , pod mostami wygląda płytko i niebezpiecznie, ale przechodzimy jak po maśle. Widzimy fotografującego redaktora, a na trzecim moście żegna nas Piotrek. Za Przemysłem zmienia się krajobraz i znikają wzgórza.

Rzeka robi się szersza i głębsza, ale płynie leniwie. Wiatru nie ma i pływanie jest bezwysiłkowe. Celem naszym na dziś jest osiągnięcie Bolestraszcyc, a właściwie drogi do nich prowadzącej.

Po 6 km San postanawia nam nie odpuszczać i znowu mamy kłopoty na bystrzach i mieliznach.

Z pierwszą dajemy sobie jakoś radę. Na drugiej siedzimy z 0,5 godziny, zanim udaje nam się zepchnąć tratwę z głazów, na których zawisła .Dopływamy prawie do celu, widzimy go odległego o 500 metrów...a przed nim spieniona woda.

Cumujemy niedopływając, bo nie mamy ochoty wisieć w nocy na kamlotach.

Jutro opracujemy strategię przejścia. Jeszcze tylko wyjście na brzeg by zobaczyć przeszkodę, ale brzeg jest fatalny: stromy, zakrzaczony i z pokrzywami na metr. Wracamy spokrzywdzeni.

Zapomnieliśmy dzisiaj o obiedzie i zakupach na kolację. Nie ma chleba, żadnych słoików nie ma....w czasie snu nie czujemy głodu...

Poniedziałek 21.07.2014

zwiedzamy Arboretum prześlicznej urody

Rano zastaję Wojtkę przepisującego własne teksty do Worda na moim komputerze. Nasz panel nie daje sobie rady z jego, ale mój chodzi bez zarzutu.

Trzeba przyznać, że nam 130W panel i 70 AH akumulator sprawdzają się świetnie i są wystarczające na nasze potrzeby. Fakt, że słońce w dzień praży strasznie, więc i energii więcej.

Przed nami ostry nurt z kamieniami i zastanawiamy się jak go pokonać. Głębokość jest spora, bo do 4m., ale możemy zawiesić się na ukrytych pod wodą głazach i wtedy nie będzie się od czego odbijać.

Decydujemy się przejść blisko brzegu, bo w najgorszym przypadku osiągniemy wciągarką do jakiegoś drzewa.

Decyzję zmieniamy już w trakcie płynięcia i wdajemy się w najszybszy nurt. Nasze obawy są słonne co do kamieni, mijamy je pod sobą nie zahaczając, ale nurt przyspiesza i mamy trudności z hamowaniem.

Nasza nowa kotwica na 30m linie ślizga się po podłożu i pędzimy ciągnąc ją za sobą. Udaje nam się wreszcie wylądować na kamienistej mieliźnie gdzieś 500 metrów dalej i tu cumujemy, by zwiedzić pobliskie atrakcje. Zastanawiamy się czy pieszo (wg mapy ok. 2 km.) czy rowerem. Brzeg jest stromy i zachwaszczony z krzakami, pokrzywami i innym świństwem.

Proponuję rowery, ale Wojtek upiera się jak muł i twierdzi, że pieszo lepiej. Wymuszam w końcu na nim zdjęcie rowerów. Ciągniemy je pod górkę przez chaszcze i łatwo nie jest. Te 50 metrów kosztuje nas dużo wysiłku. Na górze jest droga, którą dojeżdżamy do Bolestraszczyk i tu widzimy kierunkowskaz „Fort Wernera 3km”.

Przygotowany do zwiedzania sam fort nie wygląda szczególnie, ale ekspozycja w środku spora i ciekawa. Zwiedzamy bez przewodnika, ale zaopatrzeni przez pana w portierni w stosowne materiały i latarkę.

Prześliczna okolica przypomina Podole w miniaturce. Poruszamy się dalej ścieżką rowerową sycząc oczy okolicą i docierając z innej strony do Bolestraszczyk gdzie zwiedzamy Arboretum prześlicznej urody. Robi na nas niesamowite wrażenie. Nasze kurnickie w porównaniu z tym Właściwie nie można porównywać. Zofiówka w Humaniu, choć większa nie jest tak urokliwa.

Myślę, że współpraca nauki z artystami dała efekt niespodziewany i wszystkie dzieła artystów rozmieszczone na całym terenie nie tylko się wtapiają w otoczenie, ale podkreślają piękno natury.

Na koniec zaglądamy do sklepu, bo jakiś obiadek się należy... kupujemy flaki i chleb. Wracamy nad rzekę i staramy się znaleźć miejsce w gęszczu, z którego wyszliśmy. Połamane i wydeptane pokrzywy wskazują drogę.

Zrobiliśmy dziś wycieczkę 20 km. I zajęło nam to kilka ładnych godzin. Gdyby nie mój upór co do rowerów, nie zobaczylibyśmy nawet połowy.

Nie płyniemy już dzisiaj dalej, siedzimy spokojnie na mieliźnie. Jutro zepchniemy ją do wody.

Wtorek, 22.07.2014

Woda wciska mnie pod tratwę coraz bardziej, a ja trzymam się ręką jakiejś ułamanej części relingu.

Rano Internet działa lepiej niż wieczorem, więc szykujemy paczki zdjęć do domu.

Dzisiaj pływanie. Jesteśmy za bystrzami i nie spodziewamy się dzisiaj niczego. Woda toczy się leniwie z prędkością niewielką, prawie jakby stała w miejscu. Brzegi wysokie i niedostępne porośnięte jerezynami i pokrzywami, bez widoków.

Nuda, panie, nuda.... I tak przez 2,6 km, bo nagle rzeka się zmienia i zaczyna przyspieszać niespodziewanie i wzmaga się wiatr.

Wypadamy niesieni prądem z zakrętu i widzimy po lewej 6m. ściany wyrwanej ziemi. Z lewej pionowa ściana skarpy, z prawej kamienista mieliżna, więc pod ścianą głębia a w zakolu zwalisko wszystkiego co niesie rzeka i na tę ścianę wpycha.

Stoimy z Wojtkiem po lewej stronie tratwy i staramy się odpychać czym się da, wiosła nie skutkują przy tak szybkim nurcie, więc pełnią rolę pychów. Staramy się nie trafić w Kłodę, ale nasze wysiłki idą na marne. Wpadamy na nią na szczęście nie przednią a środkową częścią tratwy. Gałęzie zaczepione o relingi, pod prąd, nie wyjdziemy, ..

Piła!!! – krzyczy Wojtek. Szybko znajduję i Wojtek stara się ją odciąć.

Wojtek tnie konar, gdy czujemy, że tratwa się przechyla, napór wody ogromny i tratwa jest przechylona o 30 stopni i chce ją przewrócić, Wszystko ruchome zsuwa się do wody, szafki w kuchni otwierają się i wyrzucają swoją zawartość a woda wdziera się przez dziurę w wc, chce wypłynąć drugą stroną.

Biegnę na koniec by wypchnąć tył na środek rzeki, może rzeka sama nas oderwie. Woda, która nas przegięła i osadziła na tym rumowisku gałęzi jakby zmieniła zamiar i zaczyna odrywać koniec tratwy pchając ją ku środkowi rzeki. Zaczepieni relingami w drzewie słyszymy jęk wyrywanego metalu z lewej burty i czuję jak tył odchodzi od ściany. Silnika nie widzę, wystaje od niego tylko rączka za tratwą, staram się go ratować, ale ani drgnie - rozumiem, że jest nadal połączony z tratwą, chwytam jeszcze zbiornik sunący na wodzie za tratwą i wrzucam go na pokład, staram się wskoczyć na oddalający się koniec Myrdyrdy, ale już za daleko, więc chwytam się jakiegoś końca ułamanych barier, by nie stracić kontaktu z tratwą. Wpadam do wody, toń głębi chyba na parę metrów. Krzyczę do Wojtka, by pomógł mi się wydostać na pokład, bo nie ma się czego chwycić. Woda wciska mnie pod tratwę coraz bardziej, a ja trzymam się ręką jakiejś ułamanej części relingu. Zahaczam jedną nogą pokład, ale lewa cały czas pod tratwą i nie mogę jej ruszyć, jest dociśnięta łańcuchem z wyłamanego trapu. i liną. Łańcuch jest mocno naciągnięty i ani rusz nie puszcza, woda wypycha mnie pod tratwę a Wojtek ciągnie mnie za rękę do góry.

Tratwa odrywa się od skarpy i zaczyna się obracać idąc z głównym nurtem. Łańcuch nagle luzuje się i udaje mi się wyjąć nogę i dzięki pomocy Wojtka wydobywam się na ograbiony z relingów pokład. Długo leżę ciężko dysząc jak wywalony na brzeg wieloryb.

Gdy odzyskuję siły wypychamy tratwę na najbliższą mieliznę.

Miałem niesamowite szczęście. Gdy wisiałem pod tratwą nie trafiliśmy ani na kamienie, ani na kłodę, ani wiatr nie pchał nas z powrotem na rumowisko. W każdym z tych przypadków z życiem bym nie wyszedł. ... ponad 2T Myrdyrda przewalcowałaby mnie pod sobą.

Tratwa wygląda tragicznie, pogieęte i połamane relingi, cała zawartość wnętrza wymieszana, zbieram zawartość z pokładu, co nie odpłynęło.

Porządkujemy i bilansujemy straty:

- 1 puch (znajdujemy go później wciśniętego w brzeg, ale nie ryzykujemy, by go odzyskać)
- zniszczone relingi
- zewnętrzne blachy pływaków pogieęte jak papier
- zalana łazienka i wykładzina w budzie
- komórka (prawdopodobnie zerwana ze smyczą z szyi, bo i smyczy brak)
- zalany Nikon
- zalany tablet – znalazłem je (Nikon i tablet) na brzegu pokładu
- myszka od laptopa

- dziennik pokładowy (prawdopodobnie zmyty ze stołu)

- kubek kapitański

- rozpalarka do grilla

- buty Wojtki (pepegi od 15 lat ... prawie pamiątka)

Odpoczywamy po przejściach i staramy się przeczekać wiatr, który się wzmógł, a który powoduje, że tratwa staje się niesterowna.

Postanowiliśmy trzymać się mielizn, to lepsze niż głębia z wartkim nurtem.

Porządkujemy, zabezpieczamy boki tratwy sznurkiem, bo goły pokład niebezpieczny i decydujemy się płynąć dalej.

Rzeka jakby chciała nam wynagrodzić te przejścia i znów robi się leniwa, a w dalszym odcinku nawet pozwala na użycie silnika, który o dziwo odpala. Staramy się gdzieś zatrzymać w jakiejś wiosce, mijamy Hurkę, Medykę... 3 razy staramy się wydostać na brzeg, ale wszędzie niedostępny i poranieni, pokłuci, poparzeni. Płyniemy dalej i dopływamy do promu w Wyszatycach. Uzupełniamy wodę, a miejscowi chłopcy załatwiają iż jeden z ojców posiadający spawarkę naprawi część relingu. Ważna to część, bo narażona. Resztę połączymy linką a dalsze naprawy będą wymagały dociągnięcia spawarki na brzeg. Może coś w dalszym biegu znajdziemy.

Jestem zmęczony i wieczorem nie chce mi się pisać. Kładziemy się spać. Ja obolały, bo ponaciągałem sobie ścięgna, które teraz dają o sobie znać.

To była zdecydowanie jak do tej pory najgroźniejsza przygoda. Cieszymy się, że już za nami.

Środa, 23.07.2014

Dzisiaj święto Wedla, więc Wojtek wyjmuje czekoladę

Chcemy dziś szybciej wypłynąć, by nie było wiatru, więc wstajemy, zanim prom zaczął być czynny. Wojtek jeszcze rusza do sklepu, a ja opisuję dzień wczorajszy.

Na promie jakaś krzątanka, kilku panów coś przycina, szlifuje itp. Wojtek wraca i montujemy pospawaną wczoraj część relingu. Wojtek zauważa nagle: „oni mają spawarkę”... krótka rozmowa i przestawiamy tratwę a chłopcy z promu wstawiają spawarkę na Myrdyrdę i łatają pozostałą część relingu. Opierać się o niego nie będzie za bardzo można, ale ochrona jest. Trochę nam to przedłużyło pobyt i wzmógł się wiatr a na dodatek zaczęło padać. Nie to, że leje, ale siąpi i postanawiamy poczekać nieco.

Dzisiaj święto Wedla, więc Wojtek wyjmuje czekoladę. Trochę leżakujemy, internetujemy. Dopiero po zjedzeniu dochodzimy do wniosku, że dziś jest dzień później.

Po południu odwiedza nas radny gminy Żurawica. Dowiedział się o nas z Głosu Podkarpacia i przybiegł się z nami spotkać. Nawiązujemy międzygminne kontakty. Odwiedza nas jeszcze raz, by zachęcić do odwiedzin u tratwiarzy **z Klonowic**

. Dostajemy namiary i widzimy jak nasz gość krąży po kamienistej plaży wydłubując kamienie. Widzieliśmy takie obrazki już wcześniej i Wojtek zaczął się zastanawiać, czy miejscowi nie szukają bursztynu. Poszukiwany kamień nazywają tu wapiennikiem i najłatwiej odróżnić go w czasie deszczu i ma tę właściwość, że nie zmienia barwy. Stosowany jest przez działkowiczów jako materiał wykładzinowy. Z siąpienia przeszło do ulewy. Po kamykach widzimy podnoszący się poziom wody, ale w końcu i one znikają.

Czwartek, 24.07.2014

Myślałem, że go otrujęm, ale okazało się, że tylko się przeżarł.

Wstajemy o 5-tej by wyruszyć. Nie pada, choć pochmurno, ale woda wzrosła 1-1,5m., a środkiem rzeki płyną kłody, opony, butelki i wszystkie nabrzeżne śmieci. Przekładamy cumę wyżej, bo już pod wodą.

Wojtek zniechęca mnie do pływnięcia. Nurt wali szybko i środkiem, i brzegami. Przy takim wartkim pędzie nie mamy szans na dobiecie bezpieczne do brzegu, gdyż brak naturalnych zatoczek z wyciszonym nurtem. Nie mamy też ochoty zaplątać się między płynące sporej wielkości kłody i gałęzie. Straciliśmy już raz kotwicę na takim pędzie. Jesteśmy bezpiecznie schowani za promem.

Śniadanie, ale zanim kończymy pić kawę jesteśmy wyżej o 20cm i znów trzeba przestawiać cumę. Prom, który przesuwiał się dotychczas leniwie z jednego brzegu na drugi, jakby odmłodził nagle, bo przeskoczył dłuższy odcinek (to rzeka zwiększyła szerokość) w kilkakrotnie mniejszym czasie.

W Jarosławiu czeka na Wojtka bateria do laptopa. Wojtek kombinuje podskoczyć te 30 km. Rowerem, dzwoni do Grzesia po informacje czy przesyłka dotarła. Grześ deklaruje przywiezienie baterii do Wyszatyc i dowiadujemy się, że właśnie urodziła mu się córka. Można powiedzieć, że urodziła się prawie na tratwie, bo jeszcze parę dni temu gościliśmy Grzesia i Asię na tratwie. Sugerowaliśmy im, by dziecku nadać imię Myrdyrda, ale chyba nie przejdzie. W każdym bądź razie czujemy się dumni z narodzin jakbyśmy to my byli ojcami i postanawiamy urządzić sobie święto.

Pan na promie wyławia gałęzie z rzeki i w krótkim czasie uzbierał z tego niezłą górkę. W pewnym momencie wyławia bambus i mocno się dziwi, bo drzewa bambusowe tu nie rosną. To nasz pych zagubiony dwa dni temu. Rzeka oddaje to co zabrała, więc krzyczę, żeby uważał jak będzie płynąć moja komórka.

Wybieramy się na rowerach do Radymna, ale w rowerze Wojtka rozkręcają się śrubki i nie ryzykujemy bez naprawy.

Objedźdżamy sobie Wyszatycę z kościołem pięknie utrzymanym i jak głosi opis jednym z najstarszych na Podkarpaciu. Nieopodal widać piękną murowaną cerkiew, ale w ruinie. Cerkiew jakby w remoncie. Podobno ma tu powstać obserwatorium. Cała wioska pięknie utrzymana i ukwiecona. Trochę starych jeszcze chat w swoim urokliwym stylu, ale większość domów nowa.

Robimy zakupy w pobliskim sklepiku (płacimy kartą, bo gotówka się kończy)

Wojtek wymyśla jakąś sałatkę z przepisów książki kucharskiej w jaką zaopatrzyły nas na pożegnanie nasze maturalne koleżanki. Staram się wszystko wykonywać dokładnie wg przepisu, bo kucharz ze mnie kiepski. Wojtek jak siedział przy stole, tak po jedzeniu przewraca się i nie daje znaku życia.

Myślałem, że go otrujęm, ale okazało się, że tylko się przeżarł. Czas mija nam w deszczu, między burzami i przy stale podnoszącym się poziomie wody.

Pod wieczór zauważam, jakby woda zaczęła lekko opadać. Ok. 10-tej podjeżdża Grześ wracając z Jarosławia. Przywozi Wojtkowi baterię do laptopa. Pytamy się o zdrowie Asi i małej Julki i opowiadamy o własnych przypadkach. Grześ odjeżdża, a my zauważamy, że siedzimy na mieliźnie. Woda opadła o 10 cm i mamy problemy z zepchnięciem tratwy na głębszą wodę.. Wojtek montuje baterię i czujemy, że znów osiedliśmy. Woda opada w tempie w jakim rosła. Chyba nici ze snu. Trzeba będzie co chwilę spychać tratwę, bo jesteśmy na wypłyconym brzegu.

W końcu dochodzimy do wniosku, że niech rzeka pracuje dla nas. Stosujemy zasadę promu i cumujemy Myrdyrdę w taki sposób, by woda nas spychała z brzegu.

Noc mamy spokojną.

Piątek 25.07.2014

...będzie się zwał **Myrdyrd**

Woda opadła o metr. Nie płyną już kłody, ale nurt nadal bardzo wartki. Mamy o 1m wyżej wodę pod sobą w stosunku do środy, więc mielizny i kamienie nie powinny nam grozić. Wypływamy.

Nie udało się wypłynąć o świcie, więc wiaterek jak zwykle o 10 zaczął dmuchać. Włączamy silnik, bo przy tym pędzie rzeki i wietrze silnik jedynie daje nam sterować.

Pyrka sobie cichutko z tyłu, a my z przodu sycimy się widokami.

Silnik jest na minimum, więc daje nam jakieś 1-2 km. W stosunku do rzeki. San wygląda na tym odcinku niezmiennie z wysokimi, zachwaszczonymi i niedostępnymi brzegami ze śladami bobrów i obecnością bocianów a przede wszystkim czapli, które za Przemyśłem są czaplami siwymi.

.

Na Spotykamy parę orłów wysoko nad nami, ale nie udaje się uchwycić obiektywem stromych brzegach w skarpach gniazda ptaków – sprawdzimy później co to za gatunek jaskółek, bo robią charakterystyczne dziury.

Mijamy wielkie stado kormoranów, które tu nie są rzadkością. Za młodych lat naszych tak też wyglądał „Szwedzki Kopiec” w Słupcy , który był wtedy wyższy i też od strony południowej miał skarpe z szeregiem gniazd .

Trzymamy się środkowego nurtu i głębokości wszędzie ok. 1,5m. lub głębiej. Mielizny, które nam zagrażały zginęły pod wodą.

Mijamy Radymno i postanawiamy wykorzystać falę na której się poruszamy, by opuścić największe zagrożenia Sanu. Wiemy, że czekają na nas w Zgodzie pod Jarosławiem stare części mostu i może być tam niebezpiecznie.

Z daleka już widzimy burzącą się wodę pod mostem i zastanawiamy się pod którym przęsłem przejść. Wybieramy lewe z nadzieją, że głębsze. Widzimy, że woda wzburzona niesamowicie, ale nie ma na to rady, wszędzie tak samo.

Wojtek podnosi silnik i mamy nadzieję na prześlizgnięcie się nad wzburzonymi falami. Takiego bystrza jeszcze nie spotkaliśmy, nie zahaczyliśmy o nie, ale huśtawka na falach była taka, że woda przelewała się przez cały pokład. Oczywiście pęd chciał nas od razu wypchać na brzeg, ale uruchomiony na czas przez Wojtkę silnik i mój pych zapobiegły kolizji. Gdyby nie ten dodatkowy metr wody, pewnie byłoby dla nas to przeszkodą nie do przejścia.

Przed Jarosławiem łapie nas burza, więc w sztormiakach staramy się zacumować blisko centrum. Po kilku próbach udaje się wreszcie i idziemy zwiedzać Jarosław.

Miasto nie powala jak Przemyśl, a mogłoby. Stara część miasta częściowo odremontowana, lecz nie do końca. Pozostałe obrzeża nieciekawe jak Słupca z okresu PRL!

Zabytki i piękne kamienice, położenie miasta, historia predysponują je do tego, by było perełką Podkarpacia. Myślę, że to kwestia czasu i pieniędzy.

Zwiedzamy Kolegiatę i cerkiew, kupuję nową komórkę, mysz i załatwiam nową kartę SIM z odbiorem na jutro. Musimy też uzupełnić paliwo do elektrowni i silnika.

Gdy siedzimy wieczorem, p tratwę zaczyna coś walić. Zacumowaliśmy po zewnętrznej łuku dobrze się wiążąc, ale chyba Solina znów puściła wody, bo wałą w nas kłody i gałęzie, które znów zaczynają płynąć z nurtem.

Wojtek dzwoni do domu i dowiaduje się, że znów został dziadkiem. Synowi - Kubie urodził się syn. Wspólnie z Wojtkiem wymyślamy mu imię ...będzie się zwał Myrdyrd. Był już święty Medard, brzmi podobnie, ale bardziej swojsko.

Sobota 26.07.02014

Wstajemy późno, bo wczoraj siedzieliśmy chyba do 2 w nocy. Musimy załatwić jeszcze parę spraw, bo nie wiemy kiedy uda się trafić w jakieś większe miasto. Wzywamy taksówkę, pakujemy puste kanistry, Wojtek wysiada przy Banku, żeby dokonać przelewów, ja wpadam do Orange po nową kartę i jeszcze tankuję benzynę. Wszystko przy pomocy taksówki, więc idzie szybko i sprawnie.

Odpywamy więc i przepływając pod mostem w Jarosławiu żegna nas ostatnie bystrze, ale już nie tak wściekle jak to w Zgodzie.

Za Jarosławiem rzeka się zmienia i powoli wytraca szybkość. Robi się rozległa na 50 m. i co cieszy głęboka. Spory wiatr, więc bez silnika nie ma mowy. Ustawiamy na najmniejsze obroty i posuwamy się leniwie po wodzie środkiem rzeki.

Zapowiadają się wreszcie wakacje i są. Brzegi z wysokich skarp robi się niższe. Krajobraz przechodzi w nizinny. Na brzegach pełnopokrzyw i jerzyn. Wierzby i to w przeważającej części, czasem zdarzają się osiki. Czaple siwe, a w górze skrzydlate drapieżniki.

Ubywa kilometrów a krajobraz niezmienny.

Po dopłynięciu Wiśłoka, San rozlewa się jeszcze szerzej na 80m. Autostrada.

Staramy się rozglądać za jakimś miejscem do cumowania, ale nigdzie na całym odcinku brak takiego, z którego można wyjść na ląd (nie licząc przejść promowych po drodze).

Jest sobota, ale wędkarzy nad Sanem jak na lekarstwo. Od strony lądu do rzeki tak samo trudno dojść jak w stronę przeciwną.

Decydujemy się w końcu zatrzymać, bo godzina późna i już przebytych ponad 40 kilometrów.

W Starym Mieście przed mostem widzimy kawałek wykoszonych chaszczy i tam cumujemy. Prawdopodobnie to fragment starej przystani, bo obetonowane nabrzeże i schodki, odkrywamy je dopiero po przycumowaniu. Dobrze, że choć chwastów nie ma.

Jeszcze tylko mały wypad rowerkiem po niewielkie zakupy i kończymy dzień.

Niedziela 27.07.2014

Pyry po oficersku z gzikiem po kapitańsku. Jest uczta i jest sjesta.

Dziś dzień gospodarczy, sprzątamy, suszymy po ekscesach rzeki, sprzątamy, suszymy, pierzemy bo jesteśmy już w ostatnich koszulkach. Zakładamy oświetlenie nad stołem do pisania i inne takie.

Dziś niedziela, więc należy się obiad świąteczny. Serwujemy sobie pyry po oficersku z gzikiem po kapitańsku. Jest uczta i jest sjesta. Po sjeście zastanawiamy się czy płynąć dalej, czy zwiedzać Leżajsk. Nie mamy specjalnie ochoty na zwiedzanie jakiegoś zaprzyiałego miasteczka i wolelibyśmy być w otoczeniu przyrody, ale pranie jeszcze nie wyschło, więc ruszamy do Leżajska, z którego mnie najbardziej interesuje kirkut i grób cadyka Elizechiela.

LEŻAJSK NAS ZASKAKUJE URODĄ I PORZĄDKIEM. Miasteczko wielkości Słupcy przerośnięte drzewami, z zadbanymi domkami i ich otoczeniem. Chciałoby się tu zamieszkać.

Nasze rowery zaprowadzają nas najpierw do browaru, który zapewne jest największym miejscem pracy w tym mieście i w następnej kolejności do klasztoru benedyktynek. Obiekt jest odnowiony i ogromny. Klasztor otoczony murami, jakby był zamkiem obronnym z położonym wewnątrz kościołem. Wszędzie pełno ludzi, nie turystów a miejscowych rozmodlonych i zbierających się na mszę. Zaglądamy jeszcze do środka i widzę wewnątrz tak bogate jak w katedrze Sandomierskiej. Nie robię zdjęć by nie przeszkadzać. Jedynie sycę sobie oczy tym rozpasanym barokiem. Zapisuję ten obiekt na mojej liście do powtórnego odwiedzenia, bo warto. Zwiedzamy jeszcze ryneček zadbany jak całe miasteczko. Idziemy na kirkut, ale w szabas i niedzielę zamknięty. Zaglądamy jeszcze do kościółka położonego na skraju rynku – też pięknego, choć nie tak bogatego we wnętrzu jak wspomniany klasztor. Piękna kamienica –siedziba władz miasta. Zewsząd dobiega nas muzyka, śpiewy. W Leżajsku dzisiaj występy zespołów ludowych, głównie ze wschodu, bo

płyną ukraińskie pieśni. To cykliczny (co 3 lata) międzynarodowy festiwal z Rzeszowa, który w tygodniu przenosi się na okoliczne miasteczka. Wsłuchujemy się w muzykę i nie chce się odejść, ale Wojtek postanawia urządzić kolację na grillu. Wracamy więc zaopatrzeni w piwo Leżajsk, bo inaczej nie wypada i rozpalamy naszą czapłę.

Ognisko przyciąga wzrok, a nasz grill po raz kolejny sprawdza się na wodzie.

Rozmawiamy z Wojtkiem o miłym rozczarowaniu, jakie nas spotkało. Objeźdźliśmy rowerami nie tylko główne ulice, ale także boczne uliczki, zaglądaliśmy w podwórka. Wszędzie ład, czystość, jakby miasteczko dopiero wybudowano.

Niejedno miasteczko w Wielkopolsce mogłoby się od Leżajsk wiele nauczyć.

Poniedziałek 28.07.2014

Już nie lubię Wojtkę, spływu i przyrody

Siedzi obok mnie młoda i zarumieniona. Przekonuję ją mając w głowie „Zwrotnik Raka”, „Dzieje Grzechu” i Cezarego Barykę przygaszającego lampę. Nie jest niechętna. Zasady przestają się liczyć, to że wiek, dzieci, wnuki.... to wszystko jest zbyt silne, więc precz moralności !.....i gdy już zaczynam czuć, że ... , gdy(już jest w ogródku, już wita się z gąską...)....potworny ryk wyrwa mnie z błogostanu ...

-Stefan!! Jesteśmy na głazie, woda opadła, musimy natychmiast wypłynąć !

Otwieram zaspane oczy... za mgłą widzę Wojtkę gestykującego. Czar pryska. Pierwsze odczucie, to wściekłość. Tego się kumplom nie robi. Już nie lubię Wojtkę, spływu i przyrody. Chcę śnić!!

Faktycznie siedzimy na kamieniu, bo woda opadła o 30 cm., ale właściwie ułatwia to nam odbicie od brzegu, bo możemy luzować cumy bez obawy, że rzeka nas oderwie. Lekko zaspany i pojąc się kawą steruję, bo Wojtek pisze.

Krajobraz za Leżajskiem zmienia się i rzeka choć nadal szeroka i leniwa, to z wieloma wysepkami różnej wielkości, nawet i na jej środku, często z wysokimi, więc starymi drzewami co oznacza iż nieczęsto jest całkowicie zalewana. Każda z takich wysepek jest ostrogą przyjmującą razy od rzeki w postaci kłód wszelakich, gałęzi i śmieci i dumnie to znosząc przechowuje wszystko do następnej dużej wody z nadzieją iż ta sama rzeka zdejmie z niej ten ciężar.

Zaczyna być bardziej malowniczo, w oddali widoczne sosny, jakby wykupiły bilety w drugim rzędzie, a na wcześniejszym odcinku niespotykane. Za towarzyszy mamy ważki, które jakby poruszały się z nami cały czas, wzorem delfinów pilotujących łodzie na morzu i niezmiennie czaple które przekazują nas sobie od granicy do granicy łowiska. Wydr za dnia nie widzimy, ale w nocy włączają nam na pokład, a przed zmrokiem buszując w rzece powodując co rusz lot jakiejś ryby w powietrzu. Wojtek czasem nogą spycha te, które lądują na pokładzie. Nie doszliśmy jeszcze do tej części książki kucharskiej, która mówi o przyrządzaniu ryb.

Dopływamy do Krzeszowa, tu widzimy wzgórze, od których San się odbija i skręca w lewo. Cumujemy przy niewielkiej przystani, bo Wojtek ma do załatwienia sprawę w banku.

Wymykam się z tratwy pierwszy i widzę zadbane kompleks sportowy, dalej rynek mikrego miasteczka. Czas na przekąskę, więc wstępuję do pizzerii wcześniej zostawiając w banku wiadomość, że jeśli pojawi się tu mały, zarośnięty i złośliwy gnom, to czekam na niego obok. Barmanka syci mnie opowieścią o kościele z 1772r i zapadliskiem po zamku Zamoyskich. W Krzeszowie, jak twierdzi, Jan III poznał tu Marysieńkę. Rzadko się zdarza, by barmanka tyle wiedziała o własnej miejscowości, ale okazuje się, że jest świeżo upieczoną studentką historii. Rozmawiamy jeszcze o literaturze, bo natrętnie Krzeszów kojarzy mi się z Trylogią (Jeśli ktoś pamięta opowieść o Michałku, to też wydarzyło się tutaj i nie jest jedynie fikcją literacką). Jeszcze trochę rozmawiamy o Tolkienie i Lemie, gdy nadchodzi Wojtek. Mała przekąska i ruszamy do wspomnianego kościółka. Jest drewniany, a w środku trwają prace konserwatorskie. Rozmawiamy z młodym człowiekiem tam pracującym. Po starym zamku nic nie pozostało, więc wracamy. Gdzieś tu siedzibę ma też artysta malarz znany na świat jak cała miejscowość – syn Niziurskiego (tego Niziurskiego), ale nie odnajdujemy go, więc ruszamy na obiad do miejscowej restauracji. Brizol. Przy zamawianiu z tyłu głowy słyszę:

-Czy byłby Pan łaskaw napić się ze mną?

Odwracam się i widzę człowieka w moim wieku już nie po pierwszej wódce. Wojtek rozsiadł się już przy stoliku obok i się uśmiecha. Ja siadam przy gościu i staram się wytłumaczyć, że piwo trzymam w ręku i więcej oczywiście nie trzeba. Nie ustępuje, ja ustępuję. Wypijamy po 50 zapijając piwem. Gęba Wojtka uśmiecha się szerzej.

Rozmowa trwa. Mietek jest usatysfakcjonowany, dobrze się z nim rozmawia i ciekawie. W sumie tych wódek było więcej, na koniec wymusiłem na nim, że teraz ja stawiam. Niechętnie, ale zrozumiał, że mój honor tego wymaga. Wojtek zwał na tratwę a Mietek chce mi jeszcze pokazać dom i to co potrafi zrobić. Oglądam jego posesję piękną i zadbaną. Twierdzi, że ma największą w Polsce hodowlę szynszyli, ale oddał ją dzieciom i teraz zrobiła się jeszcze większa. (Nie zostawiajcie dzieciom majątku, bo nigdy nie popłyną tratwą). Kocha drewno, śpiewanie, gitarę i potrafi własnoręcznie coś zrobić. Zaprasza do odwiedzin:

-Znajdziesz u mnie przytulisko.

Znikam, gdy żona pojawia się w drzwiach

–Piękna i dobra kobieta... poznam Cię z nią.

-Gdy znów przybędę” – odpowiadam.

Za Krzeszowem wysepki znikają. Tym razem Wojtek przy sterze, gdy ja mogę pisać.

Zatrzymujemy się przy ujściu rzeczki w Rudniku n. Sanem. Tu mamy zaproszenie przesłane Internetem, by zwiedzić Centrum Wikliniarstwa.

Wtorek 29.07.2014

Niesamowite, co potrafią zrobić pracowite ręce zaopatrzone w talent i wyobraźnię.

Mamy dziś dużo czasu, w planach osiągnięcie Ulanowa, ale to blisko, więc wszystko idzie bez pośpiechu. Żar leje się z nieba, ale siedzimy w osłoniętej drzewami zatoczce, więc mniej odczuwamy. Wyruszamy do Centrum Wikliniarstwa. Miasteczko 7-tysięczne (Rudnik n. Sanem), które mieni się stolicą wikliniarstwa i rzeczywiście, co rusz reklama jakiejś wikliniarskiej firmy. Wiklina jest tu podstawą utrzymania, bo żadnego innego przemysłu tu nie ma, ale Karol Gustaw o mało tu życia nie stracił za przyczyną niejakiego Michałka. (nie jest to tylko fikcja literacka Sienkiewicza).

Wchodzimy do centrum wikliniarstwa. Duży piękny i nowocześnie wyposażony budynek jest jedną wielką galerią wikliny (choć nie tylko). Zwiedzamy wszystko, od garaży po strych i jest co oglądać. Niesamowite, co potrafią zrobić pracowite ręce zaopatrzone w talent i wyobraźnię. Oglądamy wszystko z zachwytem chyba ponad 2 godziny.

Nie można opisać czegoś, co trzeba na własne oczy zobaczyć : kolekcje sukien wiklinowych, kosze, meble, rzeźby. Robimy zdjęcia by zachować w pamięci. Obiekt jest godny polecenia i powinien być programowym dla każdego turysty, bez względu na sposób poruszania się.

Wracamy na naszą schowaną w cieniu tratwę, krótkie prace bosmańskie i wypływamy – Ulanów jakieś 5 km odległy, czyli tuż za rogiem.

Szeroko rozlana rzeka z wysepkami i wyłazającymi kępami z wody pokazującymi nam gdzie mielizny. Wiatr mocny i boczny więc tratwa idzie skosem. Słońko grzeje, poruszamy się wolno i Wojtek prawie zasypia przy sterze. Ot, takie świąteczne pływanie. W pewnej chwili zauważamy jakbyśmy się nie poruszali, no i silnik dziwnie się zachowuje. Wojtek budzi się znad steru i idzie na koniec tratwy, gdzie nasz silnik strumieniowy zamienił się w pogłębiarkę i wyrzuca do góry piach z wodą.

Stoimy na mieliźnie na środku rzeki, a że „Błękitny San” jest brązowo-żółty to i na 10 cm nie widać. Spychamy się z piaseczku powolutku i z wysiłkiem, ale przepychamy w końcu Myrdyrdę te paręnaście metrów po naniesionym żwirku i z daleka widzimy już most w Ulanowie., trzymając się blisko prawego brzegu gdzie nurt bardziej bystry przez co i głębiej.

Za mostem widać prawdziwe flisaków tratwy przycumowane do brzegu i pływający pomost do którego chcemy przycumować. Tutaj wrażenia na mieszkańcach nie zrobimy. Tratwy wrosły w świadomość społeczną, a my jesteśmy jedynie jakimś tratwowym wynalazkiem. Dopiero po zacumowaniu widzimy marinę z prawdziwego zdarzenia tuż za mostem po prawej stronie , z rzeki była prawie niewidoczna. To pierwszy taki obiekt na trasie.

Wychodzę na brzeg i widzę pięknie zadbane kompleks sportowy. Spotykamy takie w wielu miejscowościach i wszystkie zadbane.

Miasteczko położone na wysokim prawym brzegu w widłach Tanwi i Sanu sprawia natychmiast na mnie wrażenie osady flisackiej z parterową drewnianą (w dużej części) zabudową charakterystyczną dla tego regionu. Uliczki z wchodzącymi na chodnik malwami i innym kwieciami przerośnięte starymi drzewami. Spokojne, ciche i miłe dla oka. Na rynku jak to bywa zawsze znajdzie się coś co szpeci i nie pasuje do reszty, zupełnie jak RDT i bank spółdzielczy w Słupcy.

Tradycje flisackie są tu silne i zakorzenione bo zauważyliśmy iż miejscowe Towarzystwo Flisackie już po raz 10 organizował w tym roku spływ tratwami do Gdańska.

Zdzierając buty odkrywam też inny Ulanów. Zwany też Nowym Osiedlem, na szczęście bez bloków, ale reprezentujący „średnią krajową”, czyli bez charakteru typową dzielnicę willową.

Mija czas. Wojtek na tratwie stara się nadrobić zaległości, ja zwiedzam i głodnieję. Jedyna restauracja (pizzeria) w rynku, ale ja choć mam ochotę na coś ekstra...Jest coś za lasem, więc wędruję, błędzę i rezygnuję. Wracam na rynek i zamawiam tzw. Zestaw. Dostaję gyros o smaku kurczaka z sałatką grecką i pączki z zapiekany serem. Zestaw dziwny acz smaczny. Zwłaszcza te pączki mnie zdumiały. Ciekawe, czy mają jakąś szczególną nazwę.

Wojtek dociera wreszcie i ruszamy na poszukiwanie tutejszego retmana i animatora flisactwa w Ulanowie. Mamy jeszcze z Wyszatyc o nim informacje od radnego, który nas odwiedził na tratwie.

Zastajemy w domu Pana z sumiastymi wąsami, który opowiada nam o flisactwie i jego tradycjach w Ulanowie. Z dumą opowiada o reaktywowaniu cechu flisackiego i początkach Towarzystwa.

Nie możemy mu, niestety, zająć więcej czasu, a opowiada ciekawe rzeczy i wiele mamy jeszcze pytań. Za krótkie było to spotkanie. Nasze turystyczne pływanie jest zupełnie czymś innym niż to, co robią flisacy z Ulanowa i choć rzeka ta sama to jednak inne wyzwania. Słusznie należy się Ulanowowi miano stolicy flisactwa polskiego. Dużo osób jeszcze pamięta tu spływ drewna, który trwał jeszcze do lat 60-tych. Młodzi z opowiadań dziadków, bo wielu tu miało flisaka za przodka.

Wieczorem rozpalamy grilla, bo Wojtek bez obiadu i pieczemy kielbasę. Resztę produktów Wojtek zostawia na pokładzie, bo chłodniej i oddajemy się w objęcia Morfeusza.

Środa 30.07.2014

Zaproszenie na śniadanie jest bardzo miłe, ale nauka na tym traci.

Jakoś nie chce wstawać i wyleguję się jeszcze trochę licząc na kawę do łóżka, ale płonne to nadzieje. Wojtek nie informuje, iż kielbasy już nie mamy, bo coś w nocy buszowało po pokładzie. Przeprowadzamy śledztwo i wypada nam na wydre, bo pies na pokład by nie wszedł (zresztą nie zauważamy samotnie latających psów), a wydry już nie raz nas odwiedzały.

Z rana odwiedził nas krakowiaczek jeden. Miał nieprzespaną noc, bo wczytywał się na Internecie w nasze relacje i z rana postanowił poznać nas osobiście. Komplementuje nas bardzo, ale pod zarostem nie widać mojego zawstydzenia. Przy okazji Michał (bo tak się zowie krakowiak) potwierdza, co mówiłem Wojtkowi wczoraj, by przedłużaczem ciągnąć prąd z mariny. Uparcie twierdził, że prądu nie będzie, bo ludzie wyłączają na noc.

– Tylko ty sknero wszystko wyłączasz, w świecie inni są normalni.

Rozwija w końcu przedłużacz, który ma nawinięty na jakiejś nieoskrobanej desce, a dba o niego jakby to był dorobek jego całego życia i z zadowoleniem ładuje sobie laptopa aż mu ślinka ścieka po wargach.

Właśnie na brzegu zagadują nas flisacy i wchodzimy z nimi w rozmowę. Ostrzegają nas przed progiem w Stalowej Woli i napędzają nam niezłego strachu. Obdarowują albumami i umożliwiają wzięcie prysznica, z czego skwapliwie korzystamy. Rozmawiamy o flisactwie, rzece i jej zmienności, opowiadają o swoich flisach, drgawce, tubie, czole i śryku... o ile dobrze zapamiętałem te specyficzne nazwy.

Decydujemy się jednak jeszcze dziś przepłynąć pod Stalową Wolę i sprawdzić wcześniej przeszkodę, przed którą nas ostrzegają.

Płyniemy więc na spotkanie z przeszkodą. Spokojnie i bez wielkich lawirując od brzegu do brzegu a przed dużym zakolem rzeki gdy widzimy już kominy elektrowni cumujemy pod mostem. Jak się okazuje jesteśmy w Raławicach. Stąd do Niska dwa kroki, ale nas frapują Raławice i już widzimy kosynierów idących na armaty przez pola, które fotografujemy. Miast kosynierów jest ... infrastruktura z liniami energetycznymi, ale od czego wyobraźnia... Za chwilę dowiemy się, że to nie te Raławice, ale dla nas zaczyna się i tak ostatnie pole bitwy z Sanem... bój to jest nasz ostatni..... kto przeżyje wolnym będzie, ten kto poległ wolnym już...

Zanim jednak dowiemy się o naszym braku historyczno-geograficznego wykształcenia Wojtek postanawia, iż należy nam się obiad. Do wyboru mamy kiełbasy nadgryzione przez wydrę, a że nie wiadomo ile tego paskudztwa pływa w wodzie, warto byłoby uratować tę resztkę od zapomnienia. Z drugiej strony mamy filety z kurczaka, w Leżajsku jeszcze zakupione przez Wojtkę, które lekko się wybrzuszyły. Jestem za filetami, ale z ostrożności proponuję najpierw przeprowadzić badania, czy zjadliwe. Mój żołądek niestety trawi wszystko, więc na moim naukowo nie da się zbadać, Wojtek jako bardziej delikatny byłby dobrym testerem. Niestety, na skutek jego uporu badań naukowych nad trwałością żywności na tratwie nie da się przeprowadzić i dogryzamy to, co nam zostawiła wydra. Kurczaka nie wyrzucamy, bo może uda się Wojtkę przekonać.

Wyruszamy na rowerach, bo słońce zachodzi wspomóc Kosynierów. Bohaterowie są wszędzie, ale w tych Raławicach wstąpiła się partyzantka Czarneckiego i powstanie styczniowe, które zebrało spore żniwo.

Wojtek wjeżdża do Niska, ja rezygnuję, udaję się w kierunku Raławic i fotografuję kościółek. Trochę się zgubiliśmy, ale wiemy gdzie stacjonujemy.

Wojtkę w końcu spotykam w pobliskim barze, opierającego się o kontuar i szczerzącego zęby.

(Już w Krasie pierwsze kroki kierował do baru, gdy ja do kościoła)

Za podane napitki rewanżujemy się restauratorowi wizytówką ...rozmowa.... obdarowuje nas publikacjami z tego terenu i zaprasza na śniadanie rano. (Ja stawiam)

Reasumując, filety z kurczaka będą musiały jeszcze poczekać. Zaproszenie na śniadanie jest bardzo miłe, ale nauka na tym traci.

Czwartek, 31.07.201

Czujemy się jak w poczekalni u dentysty, pełni strachu przed nieuniknionym

Siedzimy pod mostem w Racławicach. Muchy jeżdżą po nas jak samochody, a samochodów na moście jak much. Jedno i drugie spać nie daje. Mamy dzisiaj fundowane śniadanie u restauratora pobliskiego baru „Polonez”. Zjawiamy się po 9-tej i zjadamy się smaczną jajecznicą, kawą i herbatą. Gaworzymy trochę i wysłuchujemy niesamowitych opowieści o budowaniu przez niego studni, jak trafił na wodę podziemną płynącą w stronę przeciwną do Sanu. My sami obserwujemy czasem dziwne wiry pojawiające się nagle na spokojnej rzece, a opowieści o podwójnym dnie Sanu słyszymy już jakiś raz nim płynąc. Być może istnieją dwa Sany, ten na wierzchu i ten pod nim. Według naszego rozmówcy ten niżej płynie w kierunku przeciwnym.

Po śniadaniu i miłych rozmowach z właścicielem ruszmy zmierzyć się z ostatnią przeszkodą w Stalowej Woli. To tylko 8 km , więc trasa krótka. Cumujemy kilometr przed i rowerami wyjeżdżamy na rozpoznanie.

Przeszkoda jest do przejścia , ale za nią jeżą się z wody pale do cumowania barek. Trwają po obu stronach przepławki prace budowlane. Skok wody nie jest tak wielki jak w Przemyślu. Lewa strona (widać to po fali) jest wyłagodzona, więc bez kamieni, to prawa wzburzona i czuje się pod nią wielkie głazy, których nie widać.

Rozpatrujemy różne warianty przejścia i największą przeszkodą są te dwa pale, na które będzie nas chciała rzeka zepchnąć. Jest nas dwu, więc wiosła niewiele zdziałają, gdyby użyć silnika, mamy szansę wyjścia z opresji.

Dzwonimy do zaprzyjaźnionych flisaków, a ci stanowczo odradzają przejścia środkiem nad głazami. Sami mają galery o podobnym zanurzeniu, ale lżejsze i węższe.

Pod wieczór przestawiamy tratwę o 100 m od owej przeszkody cumując na lewym brzegu i dalej dyskutujemy.

Czujemy się jak w poczekalni u dentysty, pełni strachu przed nieuniknionym. Trzeba będzie się przespać z problemem. Może podniesie się woda, może coś wymyślimy.

Piątek, 1.08.2014

Stalowa Wola - nic nie da się zrobić

Właściwie można pominąć ten dzień, bo to dzień stracony. Ale od początku.

Rano jeszcze jak zwykle zwykłe prace na tratwie i idziemy oglądać z Wojtkiem przepławkę, bo woda opadła o 10-15cm. Wybieramy się też do firmy prowadzącej tu prace, zaglądamy w plany i dostajemy informację, że poziom kamieni w stosunku do rannego poziomu wody wynosi 82 cm. To dla nas aż nadto, więc nawet z silnikiem można się pokusić. Dystans do pali cumowych jednak krótki, a na moje oko są jakieś 6 m. od brzegu. Zastanawiamy się z Wojtkiem co robić, ale nie mamy ochoty niepotrzebnie ryzykować. Jeśli mamy osiągnąć efekt ten sam w sposób bezpieczny, to tak właśnie robimy.

Ustalamy plan, że na długiej cumie mocowanej z tyłu tratwy uwiązanej na kabestanie będziemy popuszczać lekko „Myrdyrdę” wzdłuż brzegu by ustawić ją na kilka metrów przed palami. Następnie ustawić tratwę pod takim kątem by zadziałała zasada promu i rzeka sama wyniesie ją na środek. W tym momencie należałoby wyluzować liny i jest po sprawie.

Istnieje jeszcze jedna możliwość, by puścić ją po kamieniach samopas, ale trzeba by motorówki, żeby ją potem złapać, więc ten sposób odpada.

Decydujemy się operację przeprowadzić po 3-ciej, gdy na budowach nikogo nie ma, bo lepiej zrobić spokojnie powolutku niż na widoku i w nerwach.

Pakujemy wszystko i mocujemy tak, by nie latało, nie przesunęło się. Bierzymy cumy, Wojtek na brzegu wiąże, a ja przesuwam się na tratwie z nurtem, ale b. blisko do 0,5m od brzegu. Idzie nam powoli, ale w miarę sprawnie i bezpiecznie. Mamy dwie cumy rufowe i jeszcze dziobową. W zasadzie dziobowa nie jest potrzebna, bo wystarczają rufowe przekładane na zmianę.

W pewnym momencie znajduje nas jakiś pan i jak się okazuje z wydziału antykrzysowego miasta. Nie wiem jakim cudem się o nas dowiedział, być może ze Słupcy ktoś uznał, że jest na drodze kłopot i postanowił poprosić o pomoc tutejsze władze. Pan oczywiście pomoc oferuje, za chwilę zjawi się tu ekipa strażaków wodniaków z cumami, bosakami i motorówką. Nie bardzo oczekuję pomocy, ale skoro chcą pomóc, to oczywiście przy takiej pomocy będzie sprawniej. Tuż przed przepławką jest zatoczka prowadząca do elektrowni odgradzona od rzeki pomostem pływającym. Przesuwając swoim sposobem tratwę lokujemy ją na początku pomostu i teraz już z pomostu możemy przesunąć tratwę spokojnie na jego koniec.

Przybywa strażak (jakiś oficer zapewne) i ustalamy z nim strategię działania. Na brzegach są przynajmniej trzy solidnie umocowane pale w różnych od siebie odległościach. Koniec pomostu jest odległy o 10 m. od progu, Należy tak przesunąć tratwę, by znalazła się przy lewym brzegu tuż za pomostem, a wiążąc liny do pali powoli je luzować, by tratwa samoczynnie posuwając się po wzburzonym nurcie, ale jednocześnie hamując jej ruch, by nie było dynamicznych obciążeń na linach wypuszczać ją wzdłuż brzegu aż pod wspomniane pole cumownicze, które trzeba ominąć. 2 cumy grube rufowe i 1 Cuma dziobowa, strażacy rzucają dodatkową dziobową, bo nie mamy tyle lin, mocują do słupów. Dwójka popuszcza, dwójka dociąga do brzegu. Operacja uzgodniona, więc z Wojtkiem i przy pomocy strażaków przesuwamy tratwę prawie na koniec pomostu, cumujemy do niego na krótko małymi cumkami i czekamy, aż strażacy zmienią położenie zaczepu cum głównych. Widzimy jak przewiązują je raz na jeden, raz na drugi słup.

Główny strażak z panem ofiarowującym pomoc gdzieś chodzą, czas leci a Wojtek zaczyna się denerwować:

-Za długo gadają, nic z tego nie będzie

-Gdyby nie pomoc, już bylibyśmy za przepławką-odpowiadam

Jakiś czas potem istotnie dwaj panowie podchodzą i oznajmniają, że nie da się tego zrobić, bo jest zagrożenie życia ludzi (jakich? tych na brzegu?) i majątku elektrowni (niby słupów, które w przypadku kolizji z tratwą (np. urwane wszystkie liny) skończą się zadrapaniami lakieru .

Proponujemy proste i bezpieczne rozwiązanie, puszczenie tratwy środkiem kaskady samopas i

złapanie jej motorówką już po przejściu przepławki na spokojnym nurcie. Strażacy, widzimy, mają ochotę nam pomóc, ale decyzja zapada na nie.

Przygotujcie motorówkę, my puścimy tratwę ..

Nie, nie, nie możemy się na to zgodzić, ale jak tratwa się urwie dzwońcie i wtedy ją wyłapią.
(niestety, nie dostajemy telefonu)

Proponują, byśmy przemieścili tratwę w górę rzeki (15 KM. silniczek!!) wartki prąd i niedostępne brzegi o te 8 km do mostu i tam można się wydobyć na wierzch po czym odchodzą zostawiając nas na 20m. przed skalnym progiem.

Sztab antykrzysowy stwierdził, że nic nie da się zrobić.

Życzę Stalowej Woli i tutejszej władzy by kryzys ich nigdy nie dotknął...bo nic nie da się zrobić!!!

Idziemy spać uwieszeni na linach 20 m. przed wodospadem

Sobota, 2 08 2014

Mamy pozdierane dłonie, ale tratwa stoi na cumach za progiem

Cisza wokół. Pracownicy firm rozjechali się do domów, kilku wędkarzy na brzegach i ochrona obiektu. Rozważamy działanie, czy ewentualnie czekać te parę dni i skorzystać z dźwigu, ale nie bardzo mamy ochotę na czekanie. Widzimy realną szansę. To czego nie można było zrobić wczoraj w dużej sile, musimy zrobić sami.

Mamy dwie opcje. Puścić się na silniku I natychmiast po przejściu progu wydobywać się na środek rzeki albo spuszczać tratwę powoli na linach wzdłuż lewego brzegu metodą „Langsam, langsam aber sicher”

Obydwaj z Wojtkiem nie mamy ochoty na adrenalinę i wybieramy drugi sposób.

Przesuwamy tratwę najpierw na koniec pomostu tuż przed samym wodospadem. Wynosimy na brzeg wszystkie cenne rzeczy, by w razie czego ich nie utracić. Ja zabieram komputer, aparaty i dyski by nie utracić zebranych danych, Wojtek wynosi prawie cały swój majątek i ze zdumieniem patrzę jak na końcu targa ze sobą „Penelope” by nie przeżyła jakiegoś stresu.

Mocujemy liny, wiążemy dwie 30-metrowe i zaczepiamy je na rufie jak najniżej tratwy, by tył był lekko uniesiony, a tratwa się ślizgała po wodzie. Owijamy tę linę wokół kabestanu, który wczoraj podobno nie nadawał się do tej operacji, drugą 30 metrową (też rufowa) umocowaną na dalszym palu jako dodatkowe zabezpieczenie. Z dziobowych lin rezygnujemy, bo i tak woda odrzucać będzie tratwę na brzeg. Wymierzamy jeszcze długość lin, by tratwa zatrzymała się przed słupami. Wiążemy koniec do słupa by mieć pewność, że zatrzyma się w odpowiednim miejscu. Układamy liny by się nie poplątały i rozpoczynamy operację.

Tratwa spokojnie idzie z nurtem i przechodzi próg, popuszczamy powoli by miała prędkość mniejszą od wody. Napór wody jest duży i czujemy, że we dwójkę nie dajemy rady, liny parzą

ręce, Wojtek puszcza, ja trzymam, ja puszczam, bo parzy, Wojtek przejmuje linę. Zdzieramy skórę na dłoniach i puszczamy w końcu linę. Niestety druga lina rufowa, która w trakcie opuszczania luzowała się coraz bardziej (nie było trzeciej osoby by ją wybierać) pływała przed tratwą i zahaczywszy jej dziób podczas naciągania obraca tratwę o 180 stopni i zrywa się. Po obrocie druga Cuma jest z drugiej strony, ale szarpnięcie pierwszej spowodowało iż tratwa ląduje na brzegu pływakiem. Jest lekko pochylona, a woda przelewa się nad drugim pływakiem. Tratwa stoi jakieś 20 m. przed słupami. Sytuacja ze względu na to iż Cuma rufowa stała się cumą dziobową nie jest dobra, bo niestabilna i szybko wiążemy linę stalową i zabezpieczamy ciągnąc ją do słupa. Linę umocowaną na rufie też przekładamy na dziób. Trzecią linę mocujemy jeszcze do bocznej knagi. Trochę jesteśmy daleko od słupów, zamierzaliśmy być o długość tratwy dalej, ale nie będziemy już jej przekręcać. Napór wody, choć przed słupami mniejszy (ich obecność wypycha wodę na zewnątrz) nadal silny. Połowa sukcesu za nami. Mamy pozdzierane dłonie, ale tratwa stoi na cumach za progiem, choć nadal w silnym nurcie rzeki. Pozostaje sprawa jak ją przerzucić przez słupy. Najprostszą metodą byłoby uwiązanie tratwy do przeciwległego brzegu, by tratwa popłynęła (zasada cyrkla) na główny nurt i przecięcie liny. Na rzece jest ponton z wędkarzami. Rozmawiam z nimi i chętnie pomogą uwiązać linę z drugiego końca. Próbują podpłynąć w górę, ale niestety nie docierają daleko. Tak czy inaczej nie mamy liny. Jest sobota. Markety czynne, więc taksówką, bo czasu szkoda, jedziemy po linę (90 m). Taksówkarz mówi o znajomym z łódką stojącą przed przepławką. Zawozi nas do niego i prosimy by zamocował nam końcówkę liny na prawym brzegu i podwiózł drugi koniec na drugi brzeg. Niestety, to łódka służbowa i nie może być wykorzystana do celów prywatnych. Wracamy do Myrdyrdy, która nadal siedzi na brzegu, ale jakby dalej. Wszystkie liny się powyciągały na tyle, że te parę metrów Myrdyrda stoi dalej!

Skoro nie możemy przeprowadzić takiej operacji wymyślamy inny sposób. Mamy nową linę, mocujemy z przodu tratwy i wiążemy ją na najdalszym słupie. Ta lina ma za zadanie nie pozwolić tratwie na przemieszczenie się w kierunku słupów. Drugą z lin mocujemy do knagi od strony lądu, przekładamy za słup sterczący w wodzie, ta lina będzie miała za zadanie wyciąganie tratwy na środek rzeki. Teraz wystarczy tak przekręcić tratwę, by zadziałała zasada promu a tratwa sama wyjdzie na zewnątrz i zacznie się okręcać, wtedy należy przeciąć linę, która uniemożliwia jej spłynięcie przy jednoczesnym wyciąganiu liny przełożonej przez słup, lina przełożona przez słup jest na tyle długa, że tratwa powinna ominąć i drugi słup, następnie ściankę larsena i po naciągnięciu skierować na lewo w zatoczkę za larsenem. Do tej operacji potrzebujemy minimum 5 osób. W klubie wodniaków uzyskujemy pomoc w postaci 1 człowieka. To za mało i nie warto ryzykować rozbiciem Myrdyrdy. Pytamy się różnych ludzi, może ze znajomymi pomogą ale nie mają znajomych. Dzwonimy do flisaków, to paręnaście kilometrów, może by przyjechali. Są zajęci odbierając w Warszawie certyfikat UNESCO. Trzeba poprosić strażaków. Dzwonię na 112 i łączą mnie (aczkolwiek niechętnie) na straż w Stalowej Woli. Nie pomogą, bo nie ma zagrożenia życia. Pies ich trącał...

Dzwonię do taksówkarza, z którym jechaliśmy. Popytaj pan kolegów czy nie robią kursu ekstra. Ilu? – trzech.

- Będzie ekstra?

-Będzie.

- Za 5 minut jesteśmy.

Zjawiają się szybko, za nimi idzie jeszcze jakiś dwóch. Ustalamy co każdy ma robić i na jaki znak. Ja przy linie z nożem, Wojtek + 2 przy cumie przełożonej przez pale. Pozostali mają za zadanie wypchnąć tratwę na nurt, by stała się promem.

Widzę jak tratwa odchodzi i się obraca. Tnę linę, ale nie widzę za dobrze bo jestem zbyt daleko i nabrzeże zasłania, obserwuję tylko znikającą na moment budę i następnie płynącą z nurtem Myrdyrdę. Nie widzę zahaczenia o słup, opowiada mi to Wojtek później. Tratwa zgodnie z oczekiwaniami ląduje w zatoczce za larsenem, gdzie cumujemy. Na pokładzie bałagan. Ale w sumie wszystko na miejscu. Rozliczam się z taksówkarzami, a dwaj dodatkowi panowie okazują się ciekawskimi, którzy zobaczyli biegnących ku nam taksówkarzy. Przyglądają się tratwie

-Znamy was. Pisali o was w Jachtmarkecie.

Dziękujemy i obdarowujemy ich breloczkami.

Późno, bo zachód słońca, więc nosimy nasze rzeczy, które wyładowaliśmy z tratwy, gdy zjawia się młody człowiek w kasku motocyklowym. Jest z OSP. Jakiś telefon z Warszawy był żeby wam pomóc. Przysłać ekipę? Mówimy, że już sprawa załatwiona i dziękujemy. Szkoda, że nie wiedziałem wczoraj, z pewnością byśmy pomogli.

Nosimy głównie Wojtka rozliczne plecaki i widzimy grupę młodych chłopaków w zatargu z ochroniarzem. Nie wyglądają sympatycznie, więc kontrolujemy majątek, który jest teraz w dwu miejscach. Chłopcy jakoś nie chcą się oddalić. W końcu pada jakieś pytanie i wchodzi ze mną w rozmowę. Nawiązuję porozumienie i chłopcy zrywają się by przenieść nam najcięższą skrzynię, której nie dajemy rady ruszyć z Wojtkiem. Skrzynia ląduje na pokładzie. Pokazujemy im tratwę. W końcu życzą nam powodzenia i odchodzą z naszymi wizytówkami.

Wojtek wyrusza po zostawione w mieście rowery, ja pakuję jego dobytek na tratwę. Jest ciemno i zostawiamy resztę sprzętu na jutro.

Siedzimy przy piwie i zastanawiamy się jak to jest, że dwaj 63-latkowie potrafią rozwiązać problem, przy którym bezradny jest sztab antykryzysowy.

Niedziela, 03.08.2014

Zamierzam Wojtkowi zrobić wcześniej wspomnianego kurczaka,

Z rana pakujemy pozostałe rzeczy na tratwę, które nie zdążyliśmy znieść wieczorem, zwijamy liny, które wlokły się za tratwą, rowery, mocujemy znów butle. Wojtek naprawia. jeszcze poodrywane blachy z boku tratwy. Zaopatrujemy się w wodę i żegnamy się ze strażnikami obiektu, na którym byliśmy. Życzą nam powodzenia i odpływamy.

San uspokaja się i płynie szerokim rozlewiskiem, głębokość przyzwoita i tylko żar z nieba się leje. San tym razem już nie sprawia nam kłopotów i dzisiejszy dzień jest dniem wzorowym. Należy się to nam po tych wszystkich przejściach. Bandażuję sobie ręce, bo każdy dotyk boli, ale dziś nie używamy wioseł. Spokojnie i na luzie osiągamy w przyzwoitej porze nasz cel Radomyśl n/Sanem.

Przeczekujemy trochę, bo zbyt gorąco, by wybrać się gdzieś. Wojtek porządkuje wolne szafki, bo od jutra przyjeżdża następny załogant – Staszek. O 18-tej wyjeżdżam do miasteczka. Znajduję knajpę z piwem, ale to tylko część obiektu, bo jest i hotel. Znajduję barmankę i dzwoni do właściciela czy możemy skorzystać z prysznica. Za niewielką opłatę korzystamy z wielkiej przyjemności, bo oczywiście natychmiast wzywam Wojtkę. Wracamy i zamierzam Wojtkowi zrobić wcześniej wspomnianego kurczaka, ale nie mogę go odnaleźć. Zupełnie, jakby się napił RED BULLA i odfrunął. Trudno, Wojtek pójdzie spać głodny.

Mało mieliśmy takich dni, jak dzisiaj. Przydałoby się ich więcej, bo dziś adrenaliny nie byłono, może poza przypadkiem, gdyśmy na rowerach wrócili na tratwę i zauważyliśmy, że tratwa odpłynęła ...ale to tylko zatoczkę pomyliliśmy.

Poniedziałek, 04.08.2014

Zjawia się para młoda, choć nie wiadomo czy Młoda Para, zaciekawieni naszym dziwołagiem.

Rano budzi mnie telefon od Staszka. To stary przyjaciel jeszcze z czasów studenckich. Byłem wtedy na studiach szczęśliwym posiadaczem aluminiowego kociołka (jednym z dwu na całą politechnikę) Chciał go wtedy pożyczyć, bo wybierał się na rajd, na który i ja się wybierałem. Przekonałem go wtedy, że nie warto nosić kociołka, skoro go ja niosę i wygodniej będzie zmienić trasę. Tak się i stało, i dotąd wypadają te same trasy. Dzwoni, że jedzie z Sandomierza taksówką do nas. Po drodze mija jadącego w stronę Sandomierza Wojtkę, który miasta nie zna. Ja czekam na nowego załoganta.

Staszek jest delikatnej natury człkiem dużej postury. W myślach nazywam go Jamochłonem, ale tak cichutko by samemu tylko słyszeć własne myśli, bo nie chciałbym go urazić.

Przyjaciel mój serdeczny ma bowiem gdzieś poniżej dziurek od nosa, którymi oddycha olbrzymią jamę, która pochłania wszystko, co do niej wrzuca i robi to wszystko z takim wdziękiem, że nawet gdy nie czuje głodu natychmiast mam na to samo ochotę. Witamy się serdecznie i natychmiast wypijamy całe śniadanie, które ze sobą przywozi.

Zmęczeni lekko owym śniadaniem leżakujemy, by przed 15-tą wybrać się jeszcze do miasteczka, nadać pocztę ze zbędnymi ciuchami Wojtki. Jest to pierwsza paczka z rozpoczynającej się serii.

Miejscowość niewielka, zachodzimy do sklepu zderzając się z dawno zapomnianą rzeczywistością.

- Czy ma pani papier pakowy?

- Pan sobie poszuka! – odpowiada panienka dzielnie piastując własny stołek.

Szukamy pocztę wśród tych kilku domków i znajdujemy ją dopiero za trzecim razem wnioskując, że musi być to ta chałupka z przymocowaną skrzynką na listy. Wysyłamy paczkę i nawet pobieram z karty pieniądze, bo na tej niewielkiej poczcie jest to możliwe. Jasne piwo po drodze i długie przy nim pogaduchy, zakupy na wieczór i powrót na tratwę.

Wojtek jest już po oglądaniu Sandomierza i bierzemy się za kolację. Staszek za grilla bo funduje nam czarnego kurczaka (taki mu wyszedł), ja biorę się za sałatkę.

Jest już zachód, gdy zjawia się para młoda, choć nie wiadomo czy Młoda Para, zaciekawieni naszym dziwologiem, czyli Myrdyrdą. Zapraszamy na grilla, śpiewają nam ukraińskie pieśni.... w końcu odjeżdżają, a za jakąś chwilę samochód zjawia się z powrotem z podarunkiem w postaci dwu zgrzewek Leżajska.

Miłe są takie spotkania.

Wtorek, 5.08.2014

Silniczek pracuje równo, Staszek za sterem, my wypinamy brzuchy...

Budzę się rano w zupełnie przemoczonych gaciach. Jeszcze nie kontaktuję, ale w nieotwartych oczach strach! Boże to już się zaczęło. Wiem, przychodzi z wiekiem, ale żeby już?... Teraz Wojtek będzie musiał się mną opiekować... Ściągam mokre gacie, ale materac też mokry! Dopiero po jakimś czasie dociera do mnie, że materace mojej dolnej koi zostały zalane podczas przeplawki w Stalowej Woli, a wczoraj nie wchodząc do śpiwora a tylko się nim przykrywając wycisnąłem swoją masą wodę z gąbki materaca. Uff... jednak nie jest tak źle ze mną.

Wyruszamy bez pośpiechu, ale jakiś samochód znów hamuje przy brzegu. Dwóch panów z gminy Zaleszany przywożą nam albumy o ich gminie. Miło sobie znów rozmawiamy i robimy pamiątkowe zdjęcie. Tuż przed odpłynięciem przyjeżdża na motorze jakiś zainteresowany i znów wymiana zdań. Żegna nas z mostu machając.

Staszek przy sterze, Wojtek sprząta, ja się byczę. Wojtek przestaje sprzątać i też się byczy. Patrzymy na siebie i się śmiejemy. Silniczek pracuje równo, Staszek za sterem, my wypinamy brzuchy... kto uwierzy, że pływanie tratwą jest wyzwaniem?

O 13 wchodzimy na Wisłę. San próbował nas jeszcze parę razy zatrzymać wypłynieniami, ale w końcu odpuścił.

Wisła od razu zmienia krajobraz, płycizny, łachy, wysepki. Brzegi odległe i niskie brzegi z naturalnymi zatoczkami.

Szeroka i piękna rzeka sycąca oko. Dużo ptactwa gnieźdzącego się na piaszczystych łachach.

Odnosimy wrażenie, że wreszcie zaczęły się wakacje. Zatrzymujemy się w Zawichoście, małym miasteczku o długiej historycznej tradycji. Miasteczko jest uśpione, jakby jeszcze nie wypilo porannej kawy lub jak Śnieżka, która ugryzła zatrute jabłko.

Ludzie reagują na nas bardzo pozytywnie i miło, ale całe miasteczko senne.

Płyniemy dalej i że słońce już zachodzi zatrzymujemy się przy wysepce tuż przed mostem w Anopolu. Komary zajadły nas atakują w trakcie cumowania, ale nie możemy się nawet od nich odgonić. Hodowla komarów na skalę przemysłową?

Pogryzieni zagryzamy kolację.

Środa, 06.08.2014

Słyszę tupot koni! Patataj, patataj?

Rozpoczynamy od śniadania. Ja, jak zwykle 3 kawy, inni muszą coś zjeść, więc jedzą. Patrzę na Wojtka ruszającego żuchwą, gdy z wzrokiem wlepionym w ... w lepszą przyszłość mówi:

-Słyszę tupot koni!

Ja też mam ucho (choć jedno) i nic nie słyszę. Pewnie mu się śniły prerie w nocy i Indianie, gdzie tu konie na tej komarzej wysepce, gdzie tylko komary jak konie, ale nie tupią tylko bzyczą.

- Słyszę tupot koni!

-Patataj, patataj? Co? Pod kopułką ci stuka, bo niepotrzebnie otwierałeś sobie bimber od Grzesia...

Tam są!-

...i wskazuje dokładnie palcem wskazującym na most. Jakoż istotnie mostem o 200 m. odległym od nas przemieszcza się kawaleria ze wschodu na zachód (ki czort, Budionny?) a za nimi wolno kolejka tirów SOVTRANSVTO(tabory?). Nie mamy do czynienia z telewizją radiem i prasą od dłuższego czasu, więc nie wiemy co w świecie się dzieje. Daję rozkaz przemieszczania się na zachód do ujścia Odry jak najprędzej.

Jakoś odbijamy od brzegu. Rzeka rozlewa się przed nami z malowniczymi zatoczkami i naturalnymi lub nie ostrogami, kępami traw wyrastających na środku rzeki, kłodami leżącymi na plażach jak wygrzewające się morsy , z łagodnie wnoszącymi się trawiastymi brzegami lub skarpami odśladające wypiaśnione podbrzusze Mazowsza.

Tętent kopyt za nami, więc daleko od frontu. Staszek musi obyc się z tratwą, więc przy sterze stara się ją wyczuwać. Radzi sobie całkiem nieźle, jak na pierwszy dzień.

Rzeka poprzecinana łąkami piachu, bywa czasem bardzo płytka i zmusza do ciągłej obserwacji marszczącej się wody. Wiatr niestety zakłóca tę obserwację i myli czasem...

Zasady locji tu się sprawdzają, nie jak na Sanie, więc na ogół wszystko idzie dobrze. Łądujemy czasem na mieliznach, gdy nie chcemy trzymać się zbyt blisko brzegu z uwagi na niekorzystny wiatr, ale radzimy sobie z nimi. Jest nas już trzech.

Pod Józefowem Lubelskim na wodzie spotykamy starą łódkę z nietypowym ożaglowaniem a na niej dwu młodych ludzi. Żeby pogadać spokojnie wpływamy w owym Józefowie w prawą odnogę i cumujemy. Chłopacy są zafascynowani starymi łodziami pływającymi kiedyś po Wiśle i starają się ożywić stare tradycje i stare pływające sprzęty. Następni zakręceni ludzie. Mateusz zna dobrze te odcinki rzeki w dół i w górę Wisły, rozmawiamy też o pływającym młynie, to pomysł rodem z Pińczowa, ale ze względu na znajomość Wisły został dołączony do załogi; Janek jest z Krakowa i wybiera się dziś na koncert do Mięćmierza . Pewnie się jeszcze na trasie spotkamy.

Obdarowujemy ich naszymi opowieściami i materiałami z naszego regionu. Odpływają głębiej w odnogę gdy my zamierzamy z niej wyjść na Wisłę.

Łatwo się wpłynęło, bo prąd sam nas przepchnął przez łachę piachu odgradzącą owe wejście od Wisły, ale jak wyjść? Prawym brzegiem jest głębiej, ale krzaczasto i nurt spychający w głąb – nie da rady. Przerzucamy cumę na brzeg drugi, Wojtek burłaczy, a my ze Staszkiem pchamy. Nurt tu mniejszy, ale mielizna. Nasze pchanie niewielkie daje efekty. Przesuwamy tratwę centymetr po centymetrze. Do wyjścia na Wisłę raptem 50 m., ale nie dajemy rady. Ustajemy z braku sił, tratwa spychana jest powoli z powrotem. Wydłużamy cumę, by nie tracić naszej pracy i znów ...centymetr po centymetrze.... i tak przez dwie godziny. Efekt osiągamy, ale jesteśmy wymęczeni. Śmiejemy się z Wojtkiem, że gdyby nie taki przypadek, Staszek nigdy by nie uwierzył, że lekko nie ma.

Płyniemy dalej i jeśli zdarzają się mielizny, to umiemy sobie z nimi radzić.

Przed Solcem widzimy nowobudowany most z powbijanymi palami, jak nam się zdaje na całej szerokości rzeki. Wędkarz na łódce wskazuje nam właściwą drogę. Przydałaby się lornetka. W Solcu n/Wisłą znajdujemy jakąś zatoczkę i cumujemy. Ja i Wojtek ruszamy do miasteczka po benzynę, Staszek zostaje. Miasteczko niewielkie i już bez praw miejskich, choć z bogatą historią.

- Ilu ma mieszkańców?-pytamy napotkanego

-Połowę zameldowanych- odpowiada.

Podobają nam się małe miasteczka choć brak pracy, a więc pieniędzy nie pozwala im na rozkwit taki, jakbyśmy chcieli widzieć.

Zjadamy placki po węgiersku, zabierając jeden dla Staszka. Po paliwo już nie idziemy, bo do stacji jeszcze 1,5 km. Staszek prosił o piwo, więc kupuję i wracam na tratwę. Wojtek gdzieś się zawieruszył z plackiem dla Stacha, ale przecież zna drogę. Ja marszem, bo człowiek mi się odwodni. Wojtek przychodzi pół godziny później z pretensjami, że musiał nieść kanister (pusty) w obie strony.

-Czemu żeś mnie nie gonił?

- Jestem mniejszy i mam krótsze nogi- odpowiada zupełnie, jak jego wnuczek: „Panie Stefanie, ja jestem malutki!”

O tym, że ja musiałem dźwigać 8 ciężkich piw nawet się nie zająknął.

Czwartek, 07.08.2014

Ruszamy w lewo i siedzimy na piachu. Woda jest, ale na 10 cm.

Paręset metrów po starcie mijamy prom z ludźmi na brzegu. Jakiś pan przekrzykuje się z Wojtkiem. To właściciel restauracji, w której wczoraj jedliśmy, więc wymieniają sobie grzeczności. Stach za sterem, zachwycony przyrodą i starający się podzielić tym z innymi, więc gada przez

telefon. Zauważam, że podobnie jak na Warcie, telefony prowokują wszelkie kolizje. Staram się go trochę dyscyplinować, ale i tak zaliczamy kilka mielizn.

Zauważamy od Solca tyczki wyznaczające bieg nurtu rzeki i ogromnie pomocne. Niestety, nie wszystkie widać z odpowiedniej odległości. Znow przydałaby się lornetka.

Rzeka idzie w lewy zakręt. Po lewej woda (wewnętrzna część łuku), później bardzo długo łacha piasku jak widać aż do zewnętrznego brzegu. Konsternacja, bo według wszelkich zasad przejście powinno być po prawej, nie po lewej.

Ruszamy w lewo i siedzimy na piachu. Woda jest, ale na 10 cm., więc tratwa nie przejdzie. Wychodzę na zewnątrz i idę w kierunku lewego brzegu, może tam pokaże się coś głębszego, ale nie. Decyzja spychamy tratwę na prawy brzeg wzdłuż mielizny, bo pod prąd iść brzegiem trochę się nie da. Ćwiczyliśmy to wczoraj.

Prąd trochę pomaga, gdy docieramy już pod sam prawy brzeg pojawia się głębia i uwidacznia się wąskie przejście między łachą a prawym brzegiem zupełnie przez ową łachę zakryte.

Na owych wypiaszczonych a ciągnących się po kilkaset metrów łachach znajdujemy dzisiaj znow czaple białe w dużych ilościach. Łachy wyglądają jak nadbałtyckie plaże z tym, że dla ptaków (z brakiem grajdołów, parasoli ... itp)

Przed Mięćmierzem z charakterystycznym wiatrakiem stojącym wysoko nad rzeką spotykamy Janka (tego z wczoraj) wracającego łódką z koncertu. Wymieniamy się telefonami i rozstajemy.

Przed samym Kazimierzem jesteśmy turystyczną atrakcją dla stateczków wycieczkowych i zawijamy tuż za promem do małej zatoczki. Dziś tu nocleg.

Trzeba zwiedzić pobliskie atrakcje.

Stach z Wojtkiem na rowerach przeprawili się promem do Janowca, ja zostaję by zająć się rachunkami, bo powyłączają mi telefony.

Wraca Wojtek ze Staszkiem, który z racji ożenku z Firlejówną czuje się na zamku jak u siebie. Wszyscy głodni, więc do Kazimierza. Wojtek rowerem, pozostali pieszo. W Kazimierzu Festiwal Dwu Brzegów, jest głośno i gwarno. Kazimierz jest zbyt znany by go opisywać, zresztą opisać się go nie da. Trzeba go wchłonąć i poczuć.

Włączymy się do wieczora po uliczkach.

Telefon od kumpeli:

-gdzie jesteście? – w Kazimierzu n/Wistą, pijemy piwo na rynku.

Wchodzi na kamerę internetową i dzwoni: - widzę studnię i dom z podcieniami, pokażcie się. Staszek dzwoni do żony i podaje adres na kamerę. Stajemy w oświetlonym miejscu i machamy. Meldują, że widzą. Mają frajdę.

Wracamy na tratwę taksówką (Wojtek rowerem), ale dojeżdżamy tylko do zakrętu, by Wojtek nie widział...

-Pewnie wróciliście taksówką?

– Skądże -odpowiadamy.

Jest noc i zbliża się burza.

Piątek 08.08.2014

Widzimy żaglówkę z dziadkiem i wnukiem

Jak zwykle dzień rozpoczynają prace gospodarcze. Staszek uruchamia toaletę, bo coraz mniej krzaków na brzegach. Wojtek jedzie po paliwo do silnika. Jest pochmurno. Załatwiam sprawy niedzielne. W naszej sypialni znów wilgoć. Zapewne po szalejącej burzy w nocy. Widocznie czegoś nie domknęliśmy.

Wyżywamy fotografując ślicznie rozłożony Kazimierz na prawym brzegu, zacumowane stateczki. Chyba pierwsze miasto nie bojące się patrzeć na rzekę. Wzmaga się wiatr i na wodzie szkwała, ale mielizn nie widać. Opady nocne podniosły poziom rzeki. Mijamy po drodze motorówkę policjantów, chwilę z nami rozmawiają, a Wojtek promuje nas i nasze miasto obdarowując folderami.

Jakiś czas później widzimy żaglówkę z dziadkiem i wnukiem. Nie zdołają do nas podejść, ale doganiają nas przed Puławami i tu wręczamy im na Wiśle nasze gadżety.

Przed mostem widzimy zatoczkę z łódkami i jakby marina na lewym brzegu. Skręcamy, ale nie pozwalają nam tu zanocować. Nie ma właściciela, a teren prywatny (trochę nas dziwi, że brzeg rzeki jest terenem prywatnym).

Skręcam na prawo i za mostem jest wejście do portu, ale z zakazem kotwiczenia, więc dokujemy się w zagłębieniu zatoczki by nikomu nie przeszkadzać i być przed znakami. Dobre miejsce, bo 50 m od baru TAWERNA, z którego oczywiście natychmiast korzystamy.

Na tratwie zostaje tylko Wojtek, ale wracając z baru widzimy go przy rozmowie z owym dziadkiem z łódki.

- Skoczę po nalewkę własnej roboty, mieszkam tu po przeciwnej stronie.

Nie oponujemy. Czekamy jeszcze na drugiego załoganta, Jasia, który już dotarł do Dęblina i przedziera się do nas.

Jasiu dociera i dociera też Rysiu z nalewką. Częstuje. Wojtek odmawia. Stasiu odmawia. Jasiu też. głupio się robi, więc staję do boju. Ryszard opowiada o swoim życiu, pracy, pasjach (żeglarskim, szczypiorniaku, hodowli gołębi). Mówi ciekawe rzeczy, z tym że raczej nie dopuszcza do głosu. Kumpie gdzieś poznał. Jestem sam skazany na Rysiu i nalewkę. Spać się chce, ale Rysiu jeszcze

ma wiele do powiedzenia. Staram się wypijać szybciej nalewkę, bo już północ. Wreszcie mój interlokutor odchodzi. Można zapaść w sen.

SOBOTA 9-08-214

‘Przeszłość przyszłości’

Wybieramy się dziś na zwiedzanie posiadłości Czartoryskich. Zachodzimy do parku jakoś od tyłu. Zachwycają nas stare drzewa różnych gatunków, ale park jest bardzo zaniedbany i poszczególne budowle w nim stojące sprawiają smutne wrażenie. Widać jednak rozmach i ślady dawnej świetności, ale by to zobaczyć trzeba użyć swojej wyobraźni. Porównuję park z dużo mniejszym w Krasicy, ale zadbanym.

Na Świątyni Sybilli czytam napis ‘Przeszłość przyszłości’ i robi mi się wstyd. Tak jakbyśmy nie potrafili docenić co dostaliśmy w spadku od innych. Sam pałac jest w odmiennym stanie niż park. W powrotnej drodze spotykamy Rysia idącego po zakupy.

- Zaraz do was przyjdę, wypijemy piwo!

Błyskawiczne odcumowanie, uruchamiamy silnik. Rysiu jest na brzegu, ale my już w ruchu. Machamy mu ręką.

Stan wody się podniósł i płyniemy spokojnie, a że pogoda sprzyja, podziwiamy okolicę. Jasiu przy sterze i widać, że nie ma problemów. Jest opływany, bo często razem spływamy, więc umie czytać rzekę. Robimy przerwę w Gołębiu, bo chcę załogę zaprowadzić do muzeum rowerów, które odwiedziłem w maju. Jasiu i Wojtek testują każdy wynalazek. Z różnym skutkiem.

Trochę spędziliśmy tam czasu. Wracamy na tratwę, by podskoczyć jeszcze do Dęblina, gdzie Jasiu zostawił samochód. Jutro nasi załoganci wyjeżdżają. Znów spokojne i przyjemne pływanie, bo z wysoką wodą i bez wiatru. Cumujemy tuż za pierwszym mostem pod twierdzą Dęblin. Rozpalamy grilla. Robi się ciemno i jakiś ruch na brzegu. Okazuje się, że to teren wojskowy i jesteśmy niepożądani. Nie odbijamy, bo po ciemku to nie są bezpieczne manewry. Wyjaśniamy to ochronie i proszą tylko, byśmy nie wychodzili na brzeg. Komarów jakby mniej, więc i wieczór przyjemniejszy. Przepłynięte 20 km i trochę zwiedzania.

NIEDZIELA 10-08-2014

Brakuje tylko Robinsona i Piętaszka

Z rana pojawia się quad z ochroniarzami. Oficer dyżurny bardzo się denerwuje, że jeszcze jesteśmy. Wojtek jeszcze chwilę z nimi rozmawia, wręcza foldery. Informują nas gdzie jest najbliższa i najdogodniejsza dla nas zatoczka w mieście, gratulując pomysłu i życząc bezpiecznej drogi żegnają nas machając. Podpływa do nas łódka z miejscowymi wodniakami i naprowadzają nas nad zatokę. Cumujemy po zaledwie 700 metrach i mamy wizytę wodniaków.

Pan z przystani Dom Kultury otwiera nam obiekt. Rozmawiamy i za nasze foldery rewanżuje się swoimi. Oglądamy jeszcze kajak własnoręcznie wykonany przez ich kolegę. To nie kajak - to dzieło sztuki zrobione z kilku gatunków drewna i sklejonego z intarsjami.

Jasiu, który w międzyczasie poszedł sprowadzić swój samochód zaparkowany w rynku, wraca niebawem i wyruszamy samochodem zwiedzać muzeum lotnictwa. Wojtek przypomina sobie jak ponad 40 lat temu stał przed tą bramą, by składać papiery do Szkoły Orłąt. Już przed rozpoczęciem egzaminów dostał zawiadomienie, że z braku miejsc nie został przyjęty. Miał pecha, a właściwie to wujka w Anglii. W porę odkryto jego intencje.

Jest po czym pochodzić i co oglądać, ale nasz czas jest ograniczony, bo około 13:00 nasi załoganci muszą wyjechać. Jedziemy jeszcze wspólnie na obiad i żegnamy się. Może jeszcze wrócą na Myrdyrdę na innej rzece, bo chyba im się spodobała.

Żar z nieba się leje, więc decydujemy się wypłynąć po 16:00. Pot się leje nawet jak tylko leży się w cieniu. Wypływamy jednak po 16:00 i przy pogodzie bezwietrznej posuwamy się naprzód. Krajobraz podobny, z tym, że mniej wypiaszczeń z uwagi na wysoką wodę. Po drodze mijamy dwóch niemieckich kajakarzy - turystów i wymieniamy grzeczności. Pod Kozienicami rzeka rozlewa się tworząc rozliczne wysepki: mniejsze i większe i nie bardzo widać gdzie płynąć. Wybieramy jedną z odnóg i szukamy miejsca do noclegu. Cumujemy w końcu przy jednej z wysepek gdzie nurt wody jest słaby. Zastanawiają mnie jakaś konstrukcja wewnątrz wyspy, więc lecę je zbadać. Okazuje się szałasem. Idę dalej na przeciwny koniec i znajduję stado kóz. Drugi koniec wyspy jest inny krajobrazowo i zachwycający. Jutro przyjdę tu z aparatem.

Wracam na tratwę i mówię, że brakuje tylko Robinsona i Piętaszka, bo szałas i kozy już są. Bierzymy się za kolację gdy przypląwa do nas łódka (kobieta i mężczyzna, prawdopodobnie małżeństwo). Płynęli na wyspę zbadać jak się mają ich owce. Kozy nie są ich a sąsiada. Oferują pomoc, ale wszystko mamy co trzeba. Żegnamy się zapominając wręczyć im wizytówki.

PONIEDZIAŁEK 11-08-2014

“Wio, stara!”

Źle śpię, bo ciągle mnie coś budzi i swędzi. Zapewne żerują na mnie komary. Odmykam oko o świcie i widzę wschodzące słońce. Wstaję by zrobić zdjęcia i na pokładzie spotykam fotografującego już Wojtkę. Staramy się przespać jeszcze troszeczkę, ale przed siódmą wstajemy by nie płynąć w upale. Jest przyjemnie z rana bo słońce nie piecze i nie ma wiatru. Od wczoraj widzimy kominy elektrowni w Kozienicach i jakoś nie możemy do nich dopłynąć. W końcu po 10 km mijamy elektrownię, która z lewej nie chce się od nas odcepić. Na 18. zastania ją w końcu las. Od wczoraj widzimy przewagę kormoranów nad czaplami. Widujemy kormorany razem z kaczkami, nigdy wspólnie z czaplami. Rzeka wydaje się płynąć leniwie, ale ma całkiem szybki nurt. Stach odjechał i trzeba sterować samemu.

Wiążemy linę na sterze i przekładając przez relingi Wojtek steruje leżąc. Nazywamy nasz wynalazek „Sterowasikiem” na cześć odjechanego sternika.

- “Wio, stara!” - pomaga sobie okrzykami Wojtek.

Brzegi wypłaszczają się i jest równinnie. Meandrujemy między malowniczymi wysepkami podziwiając krajobraz Królowej Polskich Rzek, której ten tytuł słusznie się należy.

Tu, na Wiśle, pływanie może być jednoosobowe, więc jeden steruje a drugi robi pranie. Słońce do wieczora powinno wszystko wysuszyć. Za nami porusza się chmura, która grozi deszczem. Zrobiliśmy spory odcinek drogi, bo 53 km, ale do Góry Kalwarii chyba nie damy rady dopłynąć, więc wybieramy zatokę w Ostrówku i staramy się dobić, ale to nie zatoka, tylko odnoga w którą ściąga nas nurt. Dobrze, że Wojtek nie wyłączył silnika, więc udaje się uniknąć pułapki. Idę na rozpoznanie i jakieś 500 m dalej znajduję sklepik. Małe zaopatrzenie i powrót już w deszczu na Myrdyrdę.

Wtorek, 12.08.2014

Moja zarośnięta gęba nie podoba się właścicielowi.

Mamy w planie osiągnąć Warszawę, to krótszy odcinek niż wczoraj, więc **powinniśmy dać** radę. Wypływamy o 9-tej i niebawem mijamy Górę Kalwarię. Rzeka szeroka i jak na razie bez płyczn. Za mostem dobiega do nas motorówka policyjna, abordaż.. i jakiś czas, a właściwie do końca ich rewiru płyniemy razem opowiadając im o rejsie. Polecają nam posterunek wodny Policji w Warszawie w Porcie Praskim.

Po drodze spotykamy dwójkę kajakarzy, płyną do Warszawy i zasadzie mamy ich cały czas w zasięgu wzroku. Mijamy nowo otwarty prom, gdzie o 15 ma być impreza inauguracyjna. Mijamy gołą plażę dla nudystów, bo pustą. Rzeka przemyka się teraz przez teren rezerwatu, co jest oznakowane tablicami widzialnymi z wody.

Cały dzień towarzyszy nam wiatr i przed Warszawą robi się płytko. Skaczemy z jednego brzegu na drugi. Dobrze, że nurt wytyczają zielone i czerwone boje, bo ciężko byłoby przejść. W końcu osiągamy Warszawę i dumnie przepływamy przez całe miasto omijając pracujące pogłębiarki. Decydujemy się na cumowanie w Porcie Praskim. Wojtek załatwia z Policją pozwolenie na nocleg na ich terenie.

Dopada nas natychmiast telefon od znajomej a właściwie od obsługi naziemnej, bo Hanka przepisuje nam teksty do Worda i wysyła komunikaty pogodowe. Mamy zaproszenie na pieczeń, którą specjalnie upiekła.

Jesteśmy na terenie zamkniętym, więc wychodzę się z nią spotkać, a Wojtek jeszcze załatwia swoje sprawy. Mamy zamiar poczekać na Wojtkę w jakimś ogródku piwnym aż dojdzie. Docieramy do najbliższego o nazwie „BAZAR”, siadamy i zamawiamy piwo. Pani uprzejmie *przyjmuje zamówienie, ale po chwili podchodzi nowy kelner i grzecznie mówi, że nas nie obsłuży*, bo właściciel lokalu sobie nas nie życzy. Moja zarośnięta gęba nie podoba się właścicielowi. Hanka próbuje coś tłumaczyć i mówi, żeby sobie włączył telewizję kogo wyprasza, ale ja mam w zwyczaju nie zostawiać swoich pieniędzy w takich lokalach i przenosimy się parę kroków do sąsiedniego lokalu pytając najpierw, czy zostaniemy obsłużeni, czy może jak w poprzednim obowiązuje zasada „Nur für Deutsche”... Wojtek w końcu dociera do nas i wędrujemy pieszo do Hanki na obiad. Korzystamy z prysznica zanim ugotują się ziemniaki i obżeramy się domowym jedzeniem. Mamy ze sobą kanister, więc w drodze powrotnej chcemy zatankować paliwo. Bierzymy taksówkę, by nie błądzić w nieznanym mieście i już w niej przy użyciu komórki łapie mnie kumpel jeszcze z czasu wojska, że koniecznie musimy się spotkać. Rzadko się widzimy, ale jeśli, to rozmowy zawsze są długie. Staram się wykręcić, ale napiera, więc stawiam warunki, które przyjmuje, że rano podrzuci mnie na tratwę, bo będziemy musieli się przecumować, chyba, że komendant zdecyduje inaczej.

Zostawiam Wojtkę i tą samą taksówką jadę do Wieśka. Łąduję pod jego domem, a tu brama zamknięta i guziki z kodem. Szukam telefonu by zadzwonić do niego, bo nazwisk nijakich przy tych guzikach. Telefonu brak. Stoję ogłupiały przed chatą i zastanawiam się co zrobić. Dostać się do niego nie mogę bo nie znam kodu wejściowego. Wrócić na tratwę, obraza śmiertelna, bo ustaliliśmy a ja go lekceważę...

Na szczęście ktoś wychodził z kamienicy więc wciskam się, zanim drzwi się zamkną, Wyszukuję odpowiednią tabliczkę na drzwiach i jestem...

- Dzwon do mnie na komórkę !

Patrzy jak na wariata i mówi:

-A co to już normalnie nie możemy pogadać ?

-Telefon muszę namierzyć, bo zgubiłem.

Dzwonię z jego do siebie i odbiera taksówkarz. Zamawiam kurs powrotny i przyzwicie wynagradzam, ale komórkę odzyskuję i z nią wpisane adresy. Dalej jest normalnie, czyli będę niewyspany.

Środa, 13.08.2014

Zapuszczamy się na Stare Miasto i łazimy po uliczkach fotografując.

Wiesiek z rana podrzuca mnie do Myrdyrdy, bo sam do pracy. Wojtek gdzieś się zapodział, więc biorę się za swoje pisanie. Telefon od Hanki, żeby dać jej ciuchy do wyprania i będą na wieczór gotowe. Zaraz do nas wpadnie.

Wprawdzie komendant policji oferował nam pralkę, ale bez prania...więc decyzja na Hankę. Przychodzi, ogląda i pomlaskuje, dotyka i głaszcze Myrdyrdę . Nie ma dużo czasu, więc znika by zrobić pranie ale wprasza się na obiad (zapłacę pozostałą pieczenią). Nam też to pasuje, bo nie jesteśmy związani godziną, a ja jestem umówiony dzisiaj z agentem firmy z którą muszę podpisać umowę. To jeden z nielicznych takich punktów na trasie gdzie można mnie złapać, bym złożył swój podpis. Wychodzimy dość późno, więc Centrum Nauki Kopernik już odpada, zapuszczamy się na Stare Miasto i łazimy po uliczkach fotografując. Jest po 15 i znajduje mnie agent. Dłużej trwa opowiadanie o tratwie niż podpisywanie umowy.

Dzwoni Hanka z pytaniem gdzie jesteśmy, bo skończyła pracę. Idziemy do restauracji na Podwalu, każdy zamawia, ale tylko ja nie wylizuję talerza i większość oddaję. Porcja wystarczyłaby dla całej rodziny. Wracamy przy pogarszającej się pogodzie na Myrdyrdę.

Jestem przejeżdżony i muszę odpocząć. Wojtek przynosi paliwo, które podczas naszej nieobecności kupili nam policjanci i przynieśli na tratwę.

Mała sješta i zrywam się, by odebrać pranie. Lekko zmoczony docieram do Hanki. Pranie jeszcze nie wyszło do końca, ale za oknem zaczyna lać i

słyszeć burzę. Czekam jeszcze do 11-tej, ale bez zmian. Hanka rozkłada mi tapczan i nocuję.

Czwartek, 14.08.2014

Właśnie zostałem zabity.

Rano przestało padać, ale wiatr bardzo mocny i przeciwny. Zbieram pranie, które już wyschło.

Hanka mnie informuje, że opisała wczorajsze wydarzenie na Facebooku i że nie odpuści, bo to skandal, i że płynie z nami, i tego też nie odpuści.

Na tratwie załatwiam swoje sprawy zawodowe, muszę złożyć zamówienie, itp.

Odwiedza nas komendant i stara się zniechęcić nas do wypłynięcia dziś, ze względu na wiatr. Ma chyba rację, więc pewnie odpuścimy. Policjanci są niesamowicie nam przychylni i mamy od nich wszelką pomoc. Postanawiam w takim razie odwiedzić Centrum Nauki Kopernik. Jesteśmy prawie gotowi do wyjścia, gdy z krzaków opodal wydobywa się jakiś mężczyzna z gromadką wyrostków z kijami. Coś gada i widać, że jest przyjaźnie nastawiony i zmierza do nas. Dopiero po chwili orientuję się, że to Janek-znajomy ze swoją gromadką chłopaków. Widziałem go ostatnio pół roku temu i miał wtedy brodę, stąd problem z rozpoznaniem. Chłopcy zwiedzają tratwę, my rozmawiamy. Pytają kiedy wypływamy bo będą na moście. Żegnamy się do jutra.

Idziemy do Centrum Nauki Kopernik. Nie ma weekendu, więc może mniej ludzi. Faktycznie na zewnątrz przechadza się parę osób, za to w środku tłok i komunikat, że sprzedaż biletów wstrzymana. Obok intrygująca zielonymi ścianami Biblioteka Uniwersytetu, więc wchodzimy do ogrodu, który się wznosi aż dotyka dachu i spacerujemy po ogrodowych alejkach rozłożonych na dachu biblioteki. Widoki piękne i cisza, można z góry zajrzeć do czytelnicy przez świetliki. Całość wzbudza nasz zachwyt, do tego do tego stopnia, że postanawiamy przyznać ogrodom bibliotecznym pierwsze miejsce na liście atrakcji warszawskich. Wojtek chce jeszcze spojrzeć na Stadion Narodowy,

który im bardziej się zbliżamy, tym staje się większy. Dzień kończymy dogryzając pieczeń u Hanka zrozpaczonej, bo nie udało jej się z nami popłynąć. Upała się jeszcze wczoraj, że płynie z nami do Dworu Mazowieckiego (Będę sterować, gotować, a wieczorem dojadę do domu, bo muszę się opiekować Niunią, Panem Krówką i Rostkiem – króliczki i piesek syna, który wyjechał). Tłumaczę delikatnie, że czego ona nie zrobiła, robi jej siostra pod Piłą i opowie jej wrażenia ...

Wzrok zabija ...i właśnie zostałem zabity.

Wieczorem wracamy na tratwę, szukujemy jeszcze miejsce dla załoganta, który ma dojechać rano.

Piątek, 15.08.2014

Silnik swoje, tratwa swoje. Podkreślamy obroty by wyjść z tego tańca i w końcu się udaje.

Budzi mnie telefon od załoganta. Wojtek śpi. Michał, którego prosiłem o przybycie na 7 30, bo o 8 00 wypływamy od jakiegoś czasu siedzi vis a vis tratwy i waha się, czy zadzwonić. Zaspaliśmy. Od Janka telefon, że stoi już na moście. Zbieramy się szybko i jeszcze musimy się pożegnać z Policjantami, ale jest odprawa. Czekamy trochę i przy serwowanej przez komendanta kawie wymieniamy grzeczności. Wskaże nam drogę przez mielizny do końca rewiru. Wypływamy po drodze mijając Janka machającego nam z brzegu wraz z synem, z mostu macha nam białą koronkową chusteczką Hanka, a my majestatycznie w honorowej asyście milicyjnej motorówki wypływamy z Warszawy.

Wiaterek z początku mały wraz z płynięciem zwiększa się. Jest nas trzech, bo jest i Michał. Michała spotkaliśmy w Ulanowie. Zainteresował się naszą tratwą, później przez maila poprosił o zamustrowanie. Przyjechał w nocy z Krakowa na 3 dni.

Policjanci na granicy rewiru pokazują nam jeszcze ostatnie przeszkody i odpływają machając.

Płyniemy dalej, pilnie obserwując rzekę, bo oznakowanie powyżej Warszawy żadne. Jeśli znajdujemy bojki, to najwyżej czerwone i rzucone gdzieś na brzeg i pomieszane z zielonymi.

Dopływając do ujścia Narwi fotografujemy z daleka Twierdzę Modlin. Odtąd rzeka rozlewa się i właściwie nie ma się wrażenia płynięcia rzeką a jakimś kiszkwatym jeziorem, bo horyzont ze wszystkich stron zakryty drzewami. Rzeką jest z licznymi głębiami i zaskakującymi mieliznami. W pewnym momencie jakiś silny wiatr wykręca naszą tratwę, obraca i pcha w kierunku mielizny. Michał przy sterze, radzi dotąd sobie doskonale, bo wyczuł Myrdyrdę od razu jak tylko wziął ster do ręki, nie daje rady, bo tratwa nie chce słuchać silnika. Silnik swoje, tratwa swoje. Podkręcamy obroty by wyjść z tego tańca i w końcu się udaje.

Nie spotkaliśmy się jeszcze z taką sytuacją, by prąd rzeki płynął w przeciwnych kierunkach. Staramy się teraz uważać na skupiska takich wirów i je omijać.

Rzeką wymaga od nas cały czas ostrego manewrowania i zmiany brzegów, bo wypłynienia widzimy co krok i trzeba dość ostro przechodzić z brzegu na brzeg.

Dopływamy pod wieczór do Czerwińska n/Wisłą. Przepłynęliśmy mimo przeciwnego wiatru 65 km. To najdłuższy do tej pory odcinek jaki pokonaliśmy.

Wieczorem rozmawiamy. Dziwne jak wiele mamy wspólnego z przypadkowo spotkanym człowiekiem.

Sobota, 16.08.2014

Z rana nerwy mnie nie biorą tylko sen, więc ruszam sobie przygotować produkt zdatny do picia.

Słyszę jak Michał i Wojtek gadają starając się mnie nie budzić.

– Ja słyszę, tylko na kawę czekam – odpowiadam.

Budzenie u mnie jest procesem, a nie aktem. Trwa to jakiś czas i zachowuję się jak obzarty eukaliptusem koala

– Kawa podana kapitanie. Michał co tobie!

– Herbata- odpowiada Michał.

Zwlekam się zaspany z łóża starając się przejść bezpiecznie wzdłuż relingu do czekającej na mnie kawy. Michał coś mówi do mnie o paterach, ale nic nie kojarzę. Umysł milczy, bo się nie napił. Sączę kawę wspomagając się petem i nijak nie mogę wyjść z letargu. Co jest? 5 rano, czy pet zgaś?, kawa też cienka jakaś, jakby smaku nie miała, ale piję, może zaraz się obudzę. Widzę dno w tym kubku z kawą... albo mam omamy albo wzrok mi się poprawił. Nieśmiało rzucam pytanie oficerowi

- Ile łyżeczek wsypałeś?

– Normalnie, dwie, a może ci zapomniałem wsypać, taki byłem zapracowany....

– Ale to

brudne jest to w środku

- Prosiłem cię o herbatę – krzyczy z boku do Wojtka Michał i wykrzywia się kawą.

Z rana nerwy mnie nie biorą tylko sen, więc ruszam sobie przygotować produkt zdatny do picia.

Gdy kolejna kawa stawia mnie na nogi, postanawiamy ruszyć do Czerwińska. Miejsce to historyczne znane z przeprawy wojsk Jagiełły w marszu na Grunwald (przeprawy zbudowanej w 8 godzin i to w dodatku w tajemnicy spławiając tu z Kozienic wybudowane tam elementy pomostu) Zaskakuje i zauroczą nas charakter miasteczka. Już samo wejście przypomina mi Pyszny a konkretnie fragment zwany tunelem. Całość jakby osada rybacka lub flisacka. Znać, że ludność żyła tu z rzeki. Dużo starych domków w parterowej zabudowie i nowe i odremontowane ale w stylu całości. To miasteczko ma swój charakter. Chcemy obejrzeć najlepiej zachowane w Polsce freski romańskie, ale kościół oglądać możemy jedynie z zewnątrz, a wewnątrz przez kratę. Wnętrze barokowe i zwracamy uwagę na daleko położone Stelle, ale mimo przebudów, kościół ma też elementy romańskie, które się zachowały. Obiekt jest w posiadaniu oo Salezjanów. Znamy ten zakon z Łądu i pamiętamy niektóre ich zwyczaje, trafiamy na dzwonek z napisem

„przewodnik”, dzwonimy, brak odpowiedzi, więc nie zobaczymy fresków w absydzie południowej. Oglądamy jeszcze ogrody rozległe i dobrze utrzymane przez braciszków – to cecha Salezjan. Obaj z Wojtkiem pamiętamy z dzieciństwa ogrody salezjańskie z Łądu. Wracamy trasą tą samą, przybyliśmy do Michała, który z braku suchych rzeczy po wczorajszym przypadku zanurzenia się podczas powrotu na tratwę (tak się kończą pomysły korzystania wieczorem z pisuaru z widokiem na tratwę) pozostał, by je suszyć na sobie.

Wyływamy jeszcze w ciszy, ale niebawem już pojawia się wiatr, który nawiewa na nas chmury z kroplami wody, najpierw małymi, prawie nie wyczuwalnymi i tymi większymi, które nie ulewne, ale przenikają nas swoją wilgocią. Wypycham Michała od steru, by się schował, bo i tak niedosuszony i wołam Wojtkę, bo trzeba dobić do brzegu i przeczekać.

Wojtek siedzi w ciepłku i przepisuje swoje wypociny do Worda. – za 10 min., już mam koniec. Płynę dalej, wytrzymam tę trochę. Mija 10 min. i dalsze. Znam bardzo wiele wyrazów w różnych językach świata, bo żyję już trochę. Każdy z wyrazów jakie znam nie nadaje się do napisania na papierze. W myślach mam Wojtkę siedzącą w ciepłku, a na ustach odliczanie owych wyrazów. Krzyczę wreszcie

- (ustawa o cenzurze)

Wychodzi suchy i roześmiany tak szeroko, że najpierw pojawia się poprzeczna kreska sięgająca obu uszu, głowa mu się dzieli na dwie części jakby sobie chciał odchylić górny czerep do tyłu. POKEMON JEDEN. Właśnie doплыliśmy do Wyszogrodu i przystań widoczna, trzeba dochodzić. Cumujemy przy pomocy nadbrzeżnych wędkarzy. Wojtek wdaje się w rozmowy, ja staram się pozbyć mokrych ciuchów.

Michał decyduje się zejść dzisiaj z pokładu. Do Płocka nie damy rady doплыnąć, a po drodze brak komunikacji do Warszawy. Wymieniamy jeszcze adresy i Michał wyjeżdża w momencie, gdy nadchodzi następna chmura. Przestało padać i Wojtek się wyrывa. Ja widzę nadciągającą chmurę. Na nadbrzeżu do którego przycumowaliśmy kilku wędkarzy –camperowców starają się nas zniechęcić do wypłynięcia. Deszcz zaczyna padać rzeczywiście, potem mija i znów idzie do nas i w dodatku grzmi. Z zarośli wychodzą watahy winniczków i zaczynam myśleć o obiedzie. Decydujemy się zostać na

noc. Zwiedzamy nieciekawą Wyszogrod i zaspakajamy głód. Wiatr nie ustaje nawet gdy zasypiamy.

Niedziela, 17.08.2014

Modliłbym się może do następnej niedzieli.

Wstajemy o 6, by o 7 być już na wodzie. Wiatr wieje silnie nawet o tej porze, ale niebo bez deszczowych chmur. O 10-tej może zwiększyć się wiatr, więc wykonamy chociaż mały skok. Na całej powierzchni wody szkwał i nie można rozpoznać biegu rzeki, ni płycizn. Brak jakiegokolwiek oznakowania. Boje zielone i czerwone razem na brzegach jakby przygotowane do ustawienia lub zerwane. Czasem są ustawione myląc i prowadzą wprost na mieliznę. Kierujemy się więc wyglądem brzegów i własnym doświadczeniem. Silniczek pracuje na podwyższonych obrotach, bo wiatr przeciwny. Wiatr jest chłodny, więc zakładamy co cieplejsze ciuchy. Czasem fala na Wiśle rośnie bardziej i zalewa nam pokład. Wiatr cały czas nas spycha na lewy brzeg, gdzie z kolei widzimy kipieli. Jest głęboko, to wiry które wciągają nas i chcą nas okręcić. Silnik nie daje sobie z nimi rady, więc staramy się trzymać od nich z dala. Mimo wszystko płyniemy dalej rozgrzewając się gorącym kubkiem. W końcu nadchodzą deszczowe chmury, cumujemy i robimy przerwę. Pojawia się okienko w chmurach i ruszamy dalej. Przed Płockiem rzeka zmienia kierunek i wiatr jest z przeciwnego kierunku. Przy wjeździe do miasta spotykamy pojazd podobny do naszego przycumowany do brzegu. Robimy zdjęcia siostrze Myrdyrdy i za chwilę pojawia się pierwszy most w Płocku. Goni nas brzydka chmura, i nie pociągniemy dalej, choć godzina jeszcze młoda. Cumujemy za nowym mołem (równoległym – jedyne takie w Polsce). Oczywiście od razu są zainteresowani. Wymiana informacji i wiemy już co mamy oglądać. Rzucamy okiem na nadbrzeżne bulwary. Doskonale wykorzystano tu naturalne warunki i przystosowano je dla ludzi. Masa terenów spacerowych dla patyczaków i rowerzystów. Port dla łodzi, moło, arena koncertowa, a tuż na górze Stare Miasto z katedrą i „Mekką” mariawitów, czyli ich kościołem, który zwiedzamy. Rynek odnowiony, a w przyległych uliczkach aż roi się od

restauracyjek, pubów i kawiarni. Zgłodnieliśmy, więc w jednej z nich zjadamy penne. Aby uczcić naszego krakowskiego sternika wybieramy to z sosem pieczarkowym. Zaglądamy jeszcze do katedry z precudnymi drzwiami, które robią na nas większe wrażenie niż gnieźnieńskie. Jest tu pochowany Bolesław Krzywousty i Władysław Herman, ale po mszy tak szybko gaszono światła, zamykano drzwi, że nie udało się zrobić żadnego zdjęcia. Nawet wyjść się nie dało, dopiero jakaś siostra zakonna mnie znalazła:

szuka od pewnego czasu.

- Kolega już pana

Wyprowadziła mnie, bo modliłbym się może do następnej niedzieli. Za otwarcie drzwi rewanżuję się wizytówką.

Wychodzę z kościoła i widzę Wojtka znów z tym uśmiechem Pokemona. Zaglądamy dalej gdzie się da, on na molo, ja do WC. Dobrze było się tu zatrzymać i warto.

Jutro postanawiamy wypłynąć też wcześniej !

Wychodzę jeszcze wieczorem na skarpę i spoglądam na rozświetlone nadbrzeże, mosty i okolice. Pełno światełek, a most rozświetlony w kolorach. Wracam na tratwę i o północy słyszę hałas rac. Cały most wybucha światłami i fajerwerkami. Budzę Wojtka i oglądamy ten niesamowity spektakl.

Poniedziałek, 18.08.2014

Silnik ciągnie w jedną stronę, wiatr i fala w drugą, a nurtu żadnego nie widać.

Rano wypływamy jak wczoraj, czyli o 7-mej. Mamy informacje o sporym przeciwnym wietrze, a płyniemy przez zalew, więc póki się nie rozhuśta trzeba płynąć. Wiatr niestety wieje mocno, ale podkręcamy obroty na silniku i ruszamy. Wisła z rzeki zmienia się w zalew, jest szeroko i fala trochę wlewa się na pokład, ale niebo z niewielkimi chmurkami. Posuwamy się z prędkością ok 4 km/godz., więc nie jest źle. Wysoki prawy brzeg wygląda malowniczo i jest zagospodarowany przez różnej maści wodniaków. Zauważamy nawet stateczek w budowie gdzieś na brzegu. Sielanka długo nie

trwa i tempo spada nam do 3 km/godz. Postanawiamy zbliżyć się do lewego brzegu, może skarpa, drzewa i krzaki nas zasłonią. Staramy się jakoś przeskoczyć z prawa na lewo, ale efekty jakby niezauważalne. Silnik ciągnie w jedną stronę, wiatr i fala w drugą, a nurtu żadnego nie widać. W końcu udaje nam się po paru godzinach osiągnąć lewy brzeg. Mimo mocnego wiatru ptactwa wszelkiego na wodzie mnóstwo i to w dużych stadach. Dwie kolonie kormoranów, rybitw, kaczek. Tylko czaple w mniejszych stadach i znów pojawiają się białe w przewodzie, ale zbyt daleko by zdjęcia wyszły dobre.

Wiatr się wzmacnia i stara się nas odepchnąć od brzegu, co od czasu do czasu mu się udaje. Nie boimy się ewentualnych mielizn przy brzegu, bo wiatr w razie czego niewątpliwie sobie poradzi. Płyniemy zygżakiem, bo co wiatr nas odepchnie, my do brzegu wracamy. Prędkość postępową zmniejsza nam się do 2 km/godz. przy silniku na podkręconych obrotach, więc gdy spotykamy spokojnie położoną w zatoczce marinę cumujemy, by przeczekać akurat pod Gościńcem Pod Żaglami... będzie gdzie zjeść obiad. Udało nam się przepłynąć jakieś 20 km. Jeśli wiatr nie uspokoi się do 18-tej, pozostajemy w marinie na noc.

Z internetem nadal kłopoty i ciężko jest przesłać nawet małe pliki. Może we Włocławku coś się poprawi.

Idę na obiad. Wiatr na górze zdecydowanie większy niż w kotlinie, gdzie tylko przygina trzciny do wody. Tu na górze wyje w drzewach.

Robimy sobie sjęstę po rannym wstawaniu z nadzieją, że po sjeście...

Wojtek wybiera się do sklepiku po dobre zakupy, ja wybieram zacisze parasola zajazdu z widokiem na WC.

Wojtek wraca po pewnym czasie, bez zakupów, bo ktoś pokazał mu przeciwny kierunek, ale i tak jest zadowolony z oglądu pięknej okolicy. Pieszko więc po rower, a ja nadal pilnuję widoku.

W międzyczasie dowiaduję się, że jest WiFi, więc będzie można przesłać pliki. Wojtek kończy swój dziennik. Ja szykuję się wyjść z komputerem do zajazdu.

- No to ja zamknąłem dzień. Już nic się nie wydarzy

Kątem oka zerka na pomost i mówi:

- Jakaś wycieczka idzie nas oglądać!

Wypadałoby rozdać wizytówki i widzę istotnie gromadę ludzi zmierzającą ku nam. Z daleka słyszę głos:

- Dzień dobry Panie Stefanie Inżynieru!

Ki czort? Przyglądam się bliżej i widzę małego Jasia, wnuka Wojtka, żonę, dzieci, synową, zięcia i pozostałe wnuki, łącznie z tym, który urodził się już w trakcie naszego pływania. Cała rodzina Wojtka prze w kierunku tratwy, a w środku Ewa z ogromnym tortem w kształcie Myrdyrda z zaznaczonymi wszelkimi szczegółami (nawet mój ulubiony puch odtworzony). Namierzili nas przy pomocy SMS-a i dopadli, bo głowa rodziny kończy 63 latka. Wojtek wychodzi z budy i rozdziawia gębę. Nie jak przy jedzeniu, bo oczy wychodzą mu bardziej i hamują rozwarcie szczęki (tej górnej).

Rodzinę Wojtka znam od dawna i jestem z nią zaprzyjaźniony. Wcielałem się w rolę św. Mikołaja gdy były małe i wręczałem im obrazki świętych. Oczywiście ze swoim wizerunkiem.

Ten obrazek Hipka nosi do dzisiaj w portfelu. Z Jasiem weszliśmy w komitwę już podczas budowy tratwy. Jasiu przychodził wtedy z dziadkiem z walizką plastikowych narzędzi i dzielnie nam pomagał. Zaintrygował go bardzo mój paznokieć w kształcie pazura, rosnący na uciętym palcu, a że ciekawy świata więc bardzo się dopytywał. Opowiedziałem mu historię jak pocałowałem żabę, a przeistoczona z niej księżniczka obiecała mi, że zostanę orłem i właśnie przemieniam się w orła.

- Sprawdź Jasiu z tyłu, czy mi skrzydła rosną?

- Rosną, Panie Inżynieru! -stwierdza drapiąc mnie po łopatkach

Od tej pory gimnastykujemy sobie z Jasiem skrzydełka by nam szybciej rosły.

Przyjęcie na 10 osób trwa. Niestety słodka Myrdyrda pada ofiarą łakomstwa wyjątkowej rodziny, choć upierałem się by oddać ten egzemplarz do muzeum. Niedługo ta wizyta, bo mają jeszcze dwie godziny powrotu. Wojtek próbuje zasnąć, ale powieki nie mogą się domknąć na wielkich zdziwionych oczach. Z czasem oczy wracają na swoje miejsce.

Wtorek, 19.08.2014

Staramy się iść brzegiem „Morza Sargassowego”, ale wiatr spycha nas na prawy brzeg.

Wyływamy ze świtem ze względu na wiatr. Posuwamy się wzdłuż lewego brzegi i chcemy jak najszybciej dobić do Włocławka.

Zbliża się 20 i muszę zakończyć miesiąc podatkowy. Mam uszykowane faktury, a żona ma dowieść te, które doszły do domu. Wszystko trzeba zebrać i oddać do biura rachunkowego.

Wzmagający się mordewind nie pozwala nam na rozsądną prędkość mimo, iż chronią nas trochę krzaki i drzewa na brzegu, poruszamy się zaledwie z prędkością 2 km/godz. z pewnością nie dotrzemy na czas do Włocławka. Dzwonię i umawiamy się na spotkanie w którejś z marin na lewym brzegu. Widzimy z daleka wejście do portu i ciągle do niego płyniemy, starając się trzymać jak najbliżej lewego brzegu. Tuż przed portem trafiamy na coś, co można nazwać morzem sargassowym. W wodzie o głębokości 2m pełno różnych zielsk, które nas hamują i mogą wkręcić się w śruby naszego silniczka. Prędkość spada do 1 km/godz., więc wykręcamy szybko na środek zalewu, by to świństwo ominąć szukając jakiegoś wejścia do mariny. Znajdujemy jakieś mniej zaśmiecone i staramy się nim wejść, bo innego wyjścia nie ma. Lawirując między tymi kępami jakoś udaje nam dotrzeć do celu. Cumujemy i niedługo potem zjawiają się obie żony. Szybko załatwiam sprawy papierowe, dogryzamy wspólnie wczorajszą słodką Myrdyrdę i ruszamy dalej, bo jest jeszcze szansa dotrzeć wieczorem do Włocławka. Poznany w marinie Tomek pokazuje nam jak wyjść z mariny omijając chwasty podwodne. Sam wsiada na swój jacht i płynie przed nami. Poruszamy się z prędkością niewielką i prawie bez żadnej sterowności. Tu rządzi wiatr. Staramy się iść brzegiem „morza sargassowego”, ale wiatr spycha nas na prawy brzeg. Po godzinie mamy przeplnięte 500 m. w kierunku Włocławka. Tomek podpływa do nas i zostawia nam swój telefon – Dzwońcie, gdybyście potrzebowali jakiejkolwiek pomocy.

Dziękujemy i staramy się mimo wszystko płynąć dalej. Na środku zalewu fala półmetrowa i zalewa nam oba pokłady, nawet ten wyższy. Buty mam przemoczone, Wojtek na szczęście w kaloszach. Wiatr, też na szczęście, ciepły. Już nie staramy się walczyć z wiatrem sterując pod niego, wolimy uszczknąć coś z odległości i tak zresztą w końcu zepchnie nas na prawy brzeg. Myrdyrda wygina się na falach w różnych kierunkach, jakby była

cienką warstwą blachy. Wszystko jęczy i skrzypi. Konstrukcja cała pracuje teraz zmęczeniowo. i miejmy nadzieję, że wytrzyma. W końcu po upłynięciu jakiś 2 km wiatr przepycha nas na prawy wysoki brzeg i tu wiatr jest lżejszy, a woda głęboka. Fala też mniejsza i rośnie nam prędkość. Wolno, ale tykamy te kilometry w miarę upływu czasu. O 18-tej wiatr się uspokaja a z fal robi się tylko przyzwoity szkwał. Widzimy marinę na drugim brzegu i dzielą nas tylko 2 km. Przeskakujemy na drugą stronę zalewu i prędkość nam wzrasta do 3 km/godz. O 19-tej cumujemy w marinie OSiRu. Marina nowa i cudowna. Mamy tu wszystko: prąd, prysznice, WC, kuchnie i pozytywnie nastawionych ludzi. Jest slip z wciągarką. Jutro pomyślimy jak przenieść Myrdyrdę za zaporę.

Środa 20.08.2014

Do zobaczenia na Rurzy

Dziś dzień na Włocławek, więc mamy dużo czasu. Budzimy się leniwie. Umawiamy się ze Zbyszkiem i Bietką na popołudnie. To nasi znajomi kajakarze tu mieszkający. Zazwyczaj spotykamy się na spływach. Teraz możemy ich zobaczyć w ich własnym mieście. Wcześniej Zbyszek podaje mi telefon do przewoźnika, który może nas przerzucić za tamę. Gość przyjeżdża i twierdzi, że nie ma problemu. Oglądamy jeszcze dwa slipy za tamą i wybieramy gdzie będziemy wodować. Obgadujemy w OSIRZE sprawy wyciągnięcia i właściwie wszystko jest jasne. Wszędzie elektryczne wciągarki, więc powinno iść sprawnie.

Popołudniu wpada Zbyszek z Bietką i oglądają tratwę. Przynoszą nam masę prezentów, czym doprowadzają nas do zażenowania. Jedziemy na wspólny obiad a później poruszając się samochodem Zbyszka zwiedzamy katedrę i bulwary nadwiślańskie.

Wspominamy coś, że mamy tu do załatwienia z Wojtkiem jedną sprawę. Mieszka tu gdzieś w domu dla księży emerytów nasz z lat młodości ksiądz katecheta, któremu obiecaliśmy jeszcze przed wypłynięciem, że odwiedzimy go gdy będziemy przejeżdżać przez Włocławek.

Bietka, kobieta obeznana w kręgach kościelnych z racji śpiewania w katedralnym chórze natychmiast wyszukuje adres owego domu i wpychając się w samochód Zbyszka jedziemy ileś kilometrów za Włocławek by go odwiedzić. Bietka bywa tam z resztą bo odwiedza swojego znajomego, byłego proboszcza katedry (aktualnego spotkaliśmy pod katedrą i oczywiście nie zapomnieliśmy wręczyć mu naszej wizytówki). Jest już dość późno, ale brama otwarta. Pytamy się o naszego księdza i starają się go namierzyć telefonicznie. W końcu Mazurek (bo tak go nazywaliśmy) się pojawia. Zaprasza nas wszystkich do siebie. Bietka krząta się w kuchni szykując herbatę i ciasto, my gadamy.

Opowiadamy trochę o sobie, trochę wspominamy, ale to ksiądz głównie mówi i co z rękawa. Zupełnie jak na lekcjach religii w sześćdziesiątych latach odbywanych wtedy w przykościelnych salkach katechetycznych. Lubiliśmy tego księdza, który nauczał a

nie pouczał. Który zawsze dla nas był życzliwy i uśmiechnięty. Sprawiliśmy sobie z Wojtkiem niesamowitą przyjemność tą wizytą i dzięki Zbyszkowi i Bietce była ona możliwa. Z zadowolonej miny Mazurka odczytaliśmy, że i on był z tego bardzo kontent.

Po pożegnaniu z księdzem jedziemy jeszcze raz na bulwary nadwiślańskie by spojrzeć na Włocławek nocą. Kończymy na Myrdyrdzie kieliszeczkim bimbierku Grzesia z Przemyśla, który dzielnie nam towarzyszy w podróży jak Penelopa i żegnamy się:

- Do zobaczenia na Rurzyca w październiku!

PIĄTEK 22.08.2014 **walimy Myrdyrdą w prom**

Rano dzwoniemy do Leszka - kumpel z ulicy, zamieszkały w Bydgoszczy i żeglarz. Miałem go w telefonie, który płynie Sanem, ale używając internetu w końcu go namierzam. Muszę się zabezpieczyć wcześniej, gdyby silnik nie dawał rady w górę Brdy. Dzwonię do pani z Urzędu Miasta w Bydgoszczy, bo prosiła o informację i to też stara się ten problem jakoś rozwiązać. W każdym razie Bydgoszcz na nas czeka i jesteśmy pożądanymi gośćmi, więc każdy problem uda się rozwiązać.

Wyruszamy o 9. Co chwilę łapie mnie jakiś telefon. Nareszcie jakieś zamówienie dla firmy, więc będą pieniądze.

Z początku bezwietrznie, miłe, wypoczynkowe pływanie. Dobrze oznakowana rzeka. Później z wiatrem od tyłu, więc czasami nasza prędkość w porywach osiąga 10 km/h. Toruń osiągalny, więc po drodze zatrzymujemy się za promem w Nieszawie.

Miasteczko -wędrownik , które przeniosło się tu spod Torunia. Sprawia wrażenie umierającego i za 50 lat może wyglądać jak ruiny zamku w nieodległych Bobrownikach. Żyje tu tylko prom. Stare, 200-letnie chaty bez remontu i naprawy dachów nie przetrwają długo. Położenie Nieszawy jest śliczne, bo rozparta na wznoszącym się lewym brzegu. Może coś się tu zmieni, bo widzieliśmy kilka domów obłożonych rusztowaniami.

Odpywamy po krótkiej wizycie zaczepiając jeszcze dwóch kajakarzy z Otwocka do Gdańska i wdając się z nimi w krótką rozmowę.

Przy odejściu walimy Myrdyrdą w prom, bo ster się zaciął (znowu spadła linka, zapewne w skutek moich nerwowych działań przy dobijaniu). Zepchnąwszy się z promu robimy kółka na Wiśle aż zakółkowujemy się do lewego brzegu. Naprawa dość krótka, ale Wojtek mi to dość długo będzie pamiętał.

Od czasu do czasu zmienia nam się wiatr, czasem na silny i przeciwny, ale mija wraz z chmurą. Siedzimy sobie z Wojtkiem przy sterze razem i gwarzyśmy o tym i owym.

- Ahoj!!!

Podskakujemy obaj natychmiast, omal nie dostając zawału słysząc tak gromki okrzyk na środku rzeki. Z lewej burty wyłania się zgrabna i szybka łódeczka. Dwóch panów i dziewczyna. Zagadują nas i po pewnym czasie odpływają z niewyobrażalną dla nas prędkością.

Brzegi Wisły coraz bardziej dla nas przyjazne z łąkami i sięgającymi brzegów lasami sosnowymi, jakby zmierzającymi do wodopoju a jedynie na chwilę zatrzymującymi się przy brzegu by pozwolić się napić osikom, olchom i wierzbom. Pod mostem autostradowym dzwonię do córki. Będzie nas mogła oglądać z okien swojego mieszkania.

Wpływamy do Torunia i decydujemy się na cumowanie w centrum miasta przy Bulwarze Filadelfijskim. Nie kończymy jeszcze cumować jak zjawia się mój szwagier z piwem. Zmierzch przychodzi szybko i jesteśmy głodni, więc wybieramy się do Manekina na naleśniki. Zjadamy po jednym i Wojtek nie chce drugiego. Po wyjściu spotykam się z córką i Kapitanem Szyszką –bloggerem naszym z poprzedniego spływu na Warcie. Kapitan okazuje się filigranową dziewczyną. Idziemy na tratwę pogadać i schodzi nam do północy. Umawiamy się na obiad w dniu jutrzejszym i ewentualne zwiedzanie.

Sobota, 23.08.2014

bez wódki śledź jakby niedoprawiony

Nie trzeba wcześniej wstawać, bo dziś stąd nie ruszamy. Spokojne dopijanie kawy uświadamia mi, że jednak posiadam firmę i też trzeba o nią zadbać. Siadam więc przy komputerze. Trzeba złożyć zamówienia, popłacić rachunki, etc. Ze zwiedzania więc nici. Przynajmniej do południa. Zjawia się szwagier a niedługo później córka Marysia z Kapitanem Szyszką. Mówię, że ze względu na czekającą mnie parogodzinną robotę ze zwiedzania rezygnujemy, określamy godzinę obiadu i dziewczyny odchodzą.

Szwagier zostaje, ale w końcu zasiadam do komputera, by najpilniejsze płatności załatwić pozostawiając go samemu sobie na tratwie. Płacę, wysyłam zamówienia, etc. Szwagier (zapewne z nudów) wydzwaniania do swoich kumpli opowiadając o tratwie i ci niebawem się tu zjawiają z piwem i szampanem. Zamykam komputer. Firma zakończyła pracę, przynajmniej na razie. Siadam z nimi i czas mija. W końcu dziewczynom obiecałem obiad, więc zostawiam całe towarzystwo na tratwie z przykazaniem rozdawania zainteresowanym wizytówek, a sam zdążam do pierogarni, gdzie jesteśmy umówieni.

Wojtek towarzystwo opuścił znacznie wcześniej i gdzieś krąży po mieście. W pierogarni tłok, więc lądujemy w restauracji z kuchnią indyjską. Robimy jeszcze zakupy i zachodzimy do restauracji na barce, aby popatrzeć na Wisłę z Wisły i wypić piwo. Tu zastaje nas Wojtek, który nie ma kluczy do tratwy.

Dopijamy piwo i przenosimy się na tratwę. Rozmowy tak nas wyczerpują, a i koniec dnia zapewne, że decydujemy się na jakąś przekąskę. Zasiadamy w restauracji o miłej dla ucha nazwie „Pijalnia piwa i wódki” i każdy zamawia inną przekąskę. Kapitan Szyszka i Wojtek śledzia, z tym że Wojtek żąda jeszcze wódki, jako że bez wódki śledź jakby niedoprawiony. Marysia tatara a ja gzik z pyrą czyli mój ulubiony świąteczny posiłek. Śledź z tatarem zjawiają się szybko dość, natomiast ja czekam niepokojąco długo. Marysia zagląda na obiekt i wraca .

-Tata, oni ci tam w garnku gotują tego jednego ziemniaka!.

Chyba im się taki klient raz na pół roku zdarzył. Wojtek biegnie z aparatem sfotografować gotującą się pyrę. W końcu każdy zjada to co zamówił i to z dużym smakiem i przy miłej obsłudze. Rozstajemy się z dziewczynami (Jutro wypływamy o świcie by na szerokiej Wiśle uniknąć silnego przeciwnego wiatru) i wracamy ul. Szeroką do siebie. Gubię po drodze Wojtka, rozglądam się i znajduję. Jest jakieś 50 m. za mną i gada z jakąś dziewczyną całkiem ładnej urody z parasolką urody różowej. Czekam. On gada, ja się denerwuję, więc ruszam w jego kierunku, ale on akurat skończył rozmowę.

– Co jest?

– Reklama klubu.

- Dałeś wizytówkę, żeby nas zareklamować?

- Kurde, dawaj, to zaniosę !

Jakoż i wraca. by zareklamować naszą tratwę. Reklama za reklamę.

Przy następnym skrzyżowaniu też dziewczyna z parasolem, więc wydaję wizytówkę by jej wręczyć w ramach wymiany reklam, alem ciekawy co to za firma, więc cofam rękę i mówię:

-Pani pierwsza!

Dziewczyna patrzy się podejrzliwie i mówi:

-A wy to jacyś biblijni jesteście ? Bo już miałam takich, co mnie nawracać chcieli.

– Nie, nie, nie. Z tej strony nic pani nie grozi. Pani reklamuje się pierwsza, my potem...

I tu następuje opowieść co za 10 zł. możemy uzyskać: strip tease, taniec erotyczny a i pokoiki są do wynajęcia (Wojtek jeszcze jak zwykle dopytuje się o szczegóły) Delikatnie tłumaczymy, że jesteśmy w podróży, ale gdyby koleżanki w przerwie chciały zobaczyć tratwę, to jesteśmy do dyspozycji, nawet mamy coś w rodzaju rury, ale bambusową.

Wracamy na tratwę i widząc, że woda opada przecumowujemy tratwę do pomostu właściciela stateczku, który już ubiegłej nocy nas do tego zachęcał. Kładziemy się z nadzieją na odwiedzin i że bambus wytrzyma i w tej nadziei zasypiamy.

NIEDZIELA 24-08-2014

- nie ma telefonu,- nie ma pieniędzy ,- nie ma adresów

Wychodzimy z Torunia wcześniej, bo na wodzie wtedy flauta. Pogoda sprzyja. Wisła zaczyna przypominać Wartę, tylko kilka razy szerszą. Do Bydgoszczy niedaleko i nurt nieźle niesie, ale jak zwykle około 10-tej pojawia się wiatr i jak zwykle przeciwny. Mimo że jest lato jesteśmy poubierani jak na jesień, bo wiaterek, zwłaszcza z rana i na wodzie, chłodny, a słońeczko jeszcze nie dogrzewa. Wydawałoby się, że płynąca szerokim korytem masa wody uniesie nas w każdym miejscu , Znaki na wodzie każą iść zakosami i to ostrymi, mielizn na wodzie nie widać, a wypłynienia nie są widoczne przy szkwale. Zaliczamy mielizny chcąc skrócić sobie drogę. Na takie przygody nie zwracamy już nawet uwagi. Po prostu schodzimy z nich używając pychów i podnosząc silniczek, ale taki przypadek przypomina, by na rzece być uważnym i nie lekceważyć znaków.

Dzwoni nasz były sternik Michał, który jest w Człuchowie czy Chojnicach, gdzie kupuje jakieś zjawisko z którego robi swoją tratwę. Chce wpaść na kawę wracając do Krakowa. Pogoda zmienia się na paskudną, więc postanawiamy zatrzymać się w Solcu Kujawskim.

Cumujemy w zatoczce WOPRu w oczekiwaniu na Michała. Telefon. Michał nie dojedzie. Poruszał się przez Bydgoszcz od której jesteśmy odlegli o 8 kilometrów, ale autobusem, a te idą drogą na prawym brzegu. Lewym idzie linia kolejowa. Wychodzimy do Solca obejrzeć miasteczko wielkości naszego i w międzyczasie głodniejemy. Pytamy o najbliższą restaurację i odsyłają nas do pobliskiej "Jaskini". Restauracja okazuje się bramą do Parku Jurajskiego z wieloma atrakcjami dla dzieciaków. Jest nawet muzeum. Wszędzie jakieś dino- , ptero- i tezauro- 1) poumieszczane w lesie, a wszystko to imponujące. Wojtek postanowił tu kiedyś przyjechać na zwiedzanie z wnukami. Dopada nas w restauracji Franek, kolega z liceum, który w drodze na spływ kajakowy postanowił nas odwiedzić. Konsumujemy wspólnie i rozstajemy się. Zbliża się wieczór, więc wracamy na tratwę. Mijamy kościół idąc inną trasą i chcemy zrobić zdjęcie w innym ujęciu i tu Wojtek orientuje się, że nie ma swojej komórki. Próbuje sobie odtworzyć gdzie rozmawiał ostatnio i wraca szukać, póki się nie ściemniło. Ja wracam na tratwę i od czasu do czasu dzwonię na jego aparat. Może znajdzie on, może znajdzie ktoś. Wojtek wraca gdy już zupełnie ciemno i bez komórki:

- nie ma telefonu
- nie ma pieniędzy (tam trzymał zaskórniaki)
- nie ma adresów (nawet do rodzonych dzieci nie pamięta telefonów)
- nie ma zapisów trasy (tzn. Endomondo zapisującego ruch naszej tratwy i mapę trasy)2)

Wojtek, w przeciwieństwie do mnie, jest pesymistą i rezygnuje.3)

Ja stwierdzam, że jest szansa, bo komórka jeszcze działa. Doładowuję swoją, bo bateria siadła i wysyłam Wojtkę zaopatrzonego w moją by dzwonił do siebie co 30 metrów. Ja z moim jednym uchem nie namierzę dzwonka komórki z odległości jednego metra. On to potrafi z daleka, więc idzie po raz trzeci tą samą drogą. Wraca niebawem zadowolony. Leżała w trawie. Trafił ją za trzecim dzwonieniem. Idziemy spać. Jutro zastanowimy się jak przejść przez śluzę.

1) przypis tłumacza: Prawdopodobnie autor miał na myśli słowo "tyrano-". Można również domniemywać, że poniosły go wodze fantazji i zaczął rozglądać się za ukrytymi między godziną skrzyniami z dobytkiem.

2) przypis tłumacza: nie można się oprzeć wrażeniu, że kapitan delectuje się faktem zaginięcia komórki swojej załogi. Wrażenie zapewne jest błędne. Tak wielki człowiek nie może żywić tak niskich uczuć!

3) przypis tłumacza: Kapitan nie rezygnuje nigdy! Nawet gdy jego aparat niknie w toniach Sanu!

PONIEDZIAŁEK 25-08-2014

...jakbyśmy stawiali stopę do stopy

Ranne wstawanie zaczyna nam wchodzić w krew, ale to jedyna metoda żeby uniknąć nadmiernego wiatru, a dziś czeka nas wejście w ujście Brdy. Liczymy się z przeciwnym wiatrem i prądem wpadającej do Wisły Brdy, więc nie mamy pewności czy nasz mały silnik da radę. Ani na Wiśle, ani na Warcie nie dawał rady. W najgorszym razie przycumujemy gdzie zepchnie nas woda i będziemy wymyślać sposoby ratunku. Bydgoszcz od Solca nieodległa, więc dość szybko ją osiągamy. Wiatr złośliwie przeciwny, ale jeszcze nie w apogeum. Wisła jakby sama wrzuca nas w zatokę ujścia i mimo przeciwnego wiatru zauważam, o dziwo, że się poruszamy w górę rzeki. Wolno wprawdzie, ale zdecydowanie. Cumujemy przed śluzą czekając na zielone światło. Pod bramą śluzy zaczyna coś bulgotać i w końcu wrota się otwierają i wypływają wielką barękę zajmującą prawie całą szerokość śluzy. Czekamy jeszcze jakiś czas aż barka opuści teren i otrzymujemy pozwolenie wejścia. Zdziwieni, że wielka komora tak szybko potrafi się napełniać, obserwujemy jak nasza tratwa wraz z nami unosi się do góry o te kilka metrów. Śluzowy zapisuje w kajecie nazwę jednostki, godziny przejścia i to jest fakt historyczny bo z tą chwilą datuje się pierwsza urzędowa wzmianka o naszej Myrdyrdzie. Jesteśmy po drugiej stronie śluzy. Jest wcześniej, godzina 10:00 a do centrum jakieś 11 kilometrów. Z prądem to odcinek dwugodzinny, ale my mamy pod prąd. Staramy się iść tak, by przed wiatrem chroniły nas drzewa i poruszamy się jakoś mając na liczniku 2-3 km/h. Takie tempo jest do przyjęcia, bo prędzej czy później pokonamy ten przecież nie za długi odcinek Brdy. Płyniemy jedną godzinę, drugą - tempem spacerowym przez przemysłowe dzielnice, tak jakbyśmy stawiali stopę do stopy. Jest to pływanie

niezwykle nużące, bo ze względu na wiatr trzeba co rusz korygować kurs. Kanał jest bardzo zaniedbany i pełno w nim roślinności, które gdzieś się wieszają i hamują nasz ruch. Trochę boimy się, by nie zaplątać się w ten podwodny makaron, ale wyjścia nie ma, "na wiosółko" nie da rady, a pych dna nie sięga (z resztą mamy tylko jeden). Koło 13-tej wiatr się wzmacnia na tyle, że zyskujemy zawrotną prędkość 0,5 km/h. Obliczam odległość. Takim tempem dopłyniemy dopiero jutro do Bydgoszczy. Cumujemy w pierwszym nadającym się do tego miejscu. Robimy sobie jakąś przekąskę, pijemy kawę. Pani z Urzędu Miasta dzwoni z informacją, że w prezencie od miasta mamy 2 dni darmowego pobytu w nowo wybudowanej marinie miejskiej w samym centrum. Niestety, nie dysponują motorówką, która mogłaby nas podholować. Mijający nas kajakarze wspominali o idącej za nami barce, ale jakoś jej nie widać. Decydujemy się płynąć dalej. W każdym razie przesuwamy się do przodu, a nie do tyłu, więc to tylko kwestia czasu i paliwa. Zostało jeszcze 6 kilometrów, więc wlewamy całe pozostałe 20 litrów i ruszamy.

Po 15-tej wiatr jakby się uspokajał i widzimy, że ruszamy się żwawiej. No, to może i przesada, ale jest już 1,5-2 km/h jak pokazuje GPS. Zauważamy już pierwsze budynki, później je mijamy i przy stale ustającym wietrze wpływamy majestatycznie w Bydgoszcz. Wzdłuż Brdy ścieżki po obu stronach i sporo obserwujących nas ludzi. Pojawiają się tramwaje wodne. Jeden z kapitanów takiego tramwaju wykrzykuje do nas na widok napisu "Od Sanoka..."

- A jak się wam udało przejść Stalową Wolę?

- Na linach - odpowiadamy.

Mijamy kolejne mosty fotografując przesuwające się miasto i osiągamy cel. Jest to Opera, marina, Wyspa Młyńska.

Cumujemy w nowo wybudowanej marinie miejskiej i w niedługim czasie zjawia się Lech, kolega z jednej ulicy. Mieszka tu i od pewnego czasu pilotował nas przy pomocy telefonu informując o wszystkim. Zabiera nas na obiad i długo wspominamy stare czasy słupeckie, bosmana Szulczyńskiego z LPŻ, człowieka, który wielu wodniaków wychował.

Wojtek zasypia, a ja wychodzę jeszcze raz na Wyspę Młyńską i oglądam wszystko w nocnym krajobrazie.

WTOREK 26-08-2014

Bydgoszcz uwiodła nas urodą i ciepłym przyjęciem.

Z rana wyjeżdżam na Powązki by pożegnać się z 90-letnią kuzynką. Janeczka warta jest mszy. Wracam o 19-tej i już na dworcu czekają na mnie Leszek i Wojtek z kanistrami. Jedziemy tankować i uzupełniać zakupy. Lech nam tu bardzo pomaga. Dobrze mieć w świecie kumpli z podwórka. Wieczorem z Wojtkiem zwiedzamy nocną Bydgoszcz z ciekawymi uliczkami i rynkiem. Bydgoszcz nie tyle jest miastem położonym nad rzeką, co wrośniętym w rzekę. Jest tych odnóg trochę - poprzecinanych mostkami, a że rzeka nie szeroka, więc można przez nią prowadzić rozmowy z tymi po drugiej stronie. Bydgoszcz uwiodła nas urodą i ciepłym przyjęciem.

Kończymy wieczór w browarze bydgoskim, smakując robione tu piwa. Najbardziej odpowiada nam orzechowe i choćby tylko dla niego warto tu przyjechać.

Środa, 27 08 2014

ŚLEPE RYBY Z MYRDYRDĄ.

Opuszczamy przyjazną nam Bydgoszcz. Naraziliśmy tu na koszt miasto i obdarowano nas wieloma gadżetami i materiałami informacyjnymi. Zyskaliśmy tu też wielu fanów. Pierwsza śluza tuż za rogiem i przechodzimy bezbłędnie. Dalsze jakby na nas czekały z otwartymi ramionami czyli wrotami. Niewielki na nich ruch, więc też jesteśmy atrakcją. Ostatnie dwie śluzy jakby nigdy nie były otwierane, bo obrośnięte chwastami. Mamy nie tylko kłopoty z wpłynięciem, ale i z wypłynięciem. Silnik się dławi, a tratwa iść nie chce. W pewnej chwili zauważamy, że nie posuwamy się nawet o milimetr. Wieje przeciwny wiatr i te czepiające się nas wodorosty powodują, że nasz 10 KM silnik na najwyższych obrotach ciągnąć nie może. Wyłączamy, by nie marnować cennego paliwa i Wojtek bierze linę i burłaczy brzegiem, gdy ja na tratwie naszym jedynym pychem przesuwam ją do przodu. Idzie nam szybciej niż na silniku i przesuwamy się w ten sposób o jakiś kilometr do przodu. Docieramy do punktu gdzie dalej brzegiem iść się nie da. Z zabudowania wychodzi właściciel i wdajemy się w pogawędkę. Opowiada nam o budynku, który jest jednym z najstarszych nad kanałem i jest pozostałością dawnej kolonii A (były trzy). Wiatr w międzyczasie ucichł jakby i wywalając zielska zewsząd, gdzie się zahaczyły staramy się iść dalej na silniku. W porywach uzyskujemy 2 km/godz. To szybciej niż burłaczenie, więc płyniemy. Z mozołem pokonaliśmy pierwsze 5 km., a do Nakła daleko. Ze śluzy w Osowej Górze wyciągamy tratwę na linie, bo inaczej nie idzie. Tuż za ostatnią bydgoską śluzą łapie nas burza, więc cumujemy by ją przeczekać. Mija więc czyszczenie zarośli wodnych i uzyskujemy 2 km/godz. Kanał nie jest szeroki jak Wisła, raczej ma szerokość Brdy i krajobraz nie wygląda najgorzej, bo z poziomu tratwy widać rozległe łąki po bokach i dalszy plan z lasami, ale naszą uwagę przykuwają różne kalafiory, makarony, pory, selery posypka na wierzchu, która uniemożliwia nam pływanie. Nasze tempo znów spada do ok. 1 km/godz., ale wleczone się dalej starając się wyciągnąć z tej zupy wszystkie jej dodatki. Woda czysta, to fakt i na dnie widać to całe pole kartoflane i jeszcze bardziej przerastające przyprawy i włoszczyzny na wierzchu. Wypisz, wymaluj „ŚLEPE RYBY Z MYRDYRDA”. Męczymy się do nocy z tym minimalnym tempem i gdy już niewiele widać, cumujemy przy jakimś gospodarstwie. Jedynym, jak dotychczas, nad brzegiem kanału. Przez cały długi dzień przepłynęliśmy zaledwie 12,5 km.

Odcinek, który planowaliśmy zrobić w jeden dzień przyjdzie nam robić w 3 dni. Mordęga straszna, ale nie mamy wyjścia.

Czwartek, 28.08.2014

Chybie

Świt wita nas mgiełkami snującymi się między ścianami trzciny kanału. Jest pogodny i chłodny już rano. Bezwietrznie i czas na wypłynięcie dobry, ale postanowiliśmy złożyć tratwę do szerokości 2,5 m., by zmniejszyć opór wody i ułatwić silnikowi pchanie. Po złożeniu będziemy mieli spodem prawie gładką powierzchnię, więc „chybie” jak określa to Wojtek nie będą się miały czego czepiać. Składanie idzie nam w miarę sprawnie, ale posłuszeństwa odmawia nam silnik. Sprzęgło nijak nie chce się zaczepić i po wielu próbach uruchomienia decydujemy się na wyjęcie. Rozbieramy sprzęgło i przemywamy benzyną, bo wszystko w gęstym smarze, który siła odśrodkowa nie może pokonać. Żmudna ta praca, ale w końcu sprzęgło po wyczyszczeniu udaje się złożyć i wieszamy silnik. Linka wyczuwa opór, ale nie chce się chować, samoczynnie o coś zaczepia. Silnik chce niby odpalić, ale odbijające sprzęgło powoduje jego gaśnięcie. Ponownie bierzemy się za sprzęgło i znowu żmudna robota zakończona ok 11-tej. Silnik działa. Całe szczęście, bo burłaczyć się na kanale nie da i dla nas jest to jedyne rozwiązanie. Wiatr się pojawia, ale odbijamy i rzeczywiście zyskujemy na prędkości, bo w porywach nawet do 3 km/godz. mamy szansę osiągnąć Nakło n/Notecią. Życie byłoby jednak zbyt piękne. Po godzinie tracimy prędkość sami nie wiedząc czy to wiatr czy wodorosty. W końcu mimo silnika na pełnym gazie spycha nas na brzeg. Postanawiamy przeczekać wiatr, bo szkoda paliwa. Jemy wczorajszą sałatkę i słyszymy jak wiatr z szumu przeradza się w wycie. To jest wichura a stojące w kanale przerośnięte kępy odrywają się od podłoża i wędrują wzdłuż rzeki waląc wprost na nas. Odpychamy co większe, ale to bezcelowe. Jest ich zbyt wiele. Przepłynięte 2,5 km. Było sukcesem, ale krótkim. Poddajemy się i zamykamy w naszej budzie. Jest internet, więc nadrabiamy zaległości. Na zewnątrz wyje a czubki traw piją wodę. Cieszymy się, że jesteśmy w środku i robimy sobie sjęstę w oczekiwaniu na ciszę.

– Wstawaj Stefan, płyniemy.

Słyszę o 17 Wojtku, który obserwując flagę słupecką stwierdził, że wiatr ustał znacznie. Wypływamy i mimo wiatorku na GPS nowy wynik 2,5 – 3 km. Szybko robimy skok do Gorzymia, gdzie kupujemy chleb w wiejskim sklepiku i ruszamy dalej. Za Gorzyniem poprawia się woda w kanale. Wiatr chyba przedmuchał rzekę, bo mniej w niej pływającego paskudztwa. Pogoda robi się bezwietrzna i na wodzie flauta. Płyne się bez problemów, no od czasu do czasu silnik gaśnie łapiąc chwasty, lub jakieś gałęzie, ale to już coraz rzadszy przypadek. O zmierzchu, a właściwie po zachodzie osiągamy śluzę przed Nakłem. Oczywiście jest już zamknięta, ale jesteśmy szczęśliwi iż dotarliśmy. Jutro na pokład wchodzi nowy załogant, kobieta. Nasze żołądki już się cieszą.

Piątek, 29.08.2014

Ziemniaki, mięso, sos, mizeria, szarlotka – Boże! zapomnieliśmy, że można tak jeść.

Śluzę otwierają o 8-mej i o 8 w niej jesteśmy, po 2 km. mamy drugą i wpływamy do Nakła. Już z daleka widzimy fotografującą nas Dziunię, która wchodzi dziś na pokład. Wpływamy do Nowej mariny, jeszcze nie wykończonej w 100%, ale w przyszłym roku będzie wszystko. Teraz i tak jest to co potrzeba turyście. Prysznic, prąd, wc. Witamy się serdecznie z Dziunką i wyruszamy do miasta. Ja załatwiam nową komórkę i za chwilę znów mam czynny telefon, robimy jakieś zakupy, wizyta przy bankomacie i odpływamy. Szkoda nam dobrej pogody, bo słonecznie i co najważniejsze, bezwietrznie, a na Noteci Leniwej, która ostatnio jest leniwa, wiatr dla nas jest największą przeszkodą. Zaraz za Nakłem widzimy pędzący samochód, który prawie z piskiem opon hamuje i wypada z niego człowiek z aparatem.

-Wieczorem będziecie w Kurierze Nakielskim w internecie-woła. Nie mogłem wcześniej, musiałem obsłużyć jeszcze jedną imprezę.

Machamy mu mijając, gdy on fotografuje.

Noteć Leniwa przypomina po trosze Kanał Bydgoski, bo nurt jest niezauważalny i też porasta rzeka roślinnością, ale z poziomu tratwy zauważamy brzegi i to co na brzegach, bo poziom gruntu jest zaledwie o 0,5 m. wyższy od poziomu wody. Widać już nadchodzącą jesień coraz wyraźniej.

Zieleń straciła już wiosenną świeżość a teraz brązowieje. Wchodzimy do śluzy Gromadno i już przed nią przedzieramy się przez zarośla. Silnik miele je na sieczkę, ale prędkość nam wyraźnie spada. Gdy otwiera się druga brama śluzy widzimy rzekę po horyzont zarośniętą paskudztwem nie do przejścia. Kępy traw osiadłych na , makaron z liści, to wszystko wędruje wzdłuż rzeki leniwie, czasem się okręcając. Silnik pracuje trochę głębiej, ale na powierzchni to wszystko pchamy przed sobą. Dziunka i ja przy wiosłach, Wojtek przy sterze, później zmiana, bo to ciężka praca przesuwanie tych wszystkich kęp i wyławianie makaronu. Posuwamy się jednak do przodu krok po kroku i kiedy Wojtek już zupełnie się załamuje po jakimś 1,5 km zaczyna się trochę rozwidniać i pozostaje już sama rzęsa, bez kęp z liśćmi. Tratwa od razu to czuje i zwiększa prędkość. W końcu rzeka robi się znów gładka i płyniemy już normalnie. Zbliży się zmierzch, więc Dziunia bierze się za obiad i jest to pierwszy domowy obiad od dwu miesięcy. Ziemniaki, mięso, sos, mizeria, szarlotka – Boże !, zapomnieliśmy, że można tak jeść. Nie przerywamy płynięcia w trakcie jedzenia, bo trzeba wykorzystać pogodę. Płyniemy do zmroku i płyniemy dalej. Już noc. Lampką świecimy po brzegach, ale wszędzie tylko trzciny i żadnego drzewa, do którego możemy się dowiązać. Z GPS-a wychodzi, że za chwilę będzie most. Przy mostach zazwyczaj są stanowiska wędkarskie i wtedy się można wydostać gdzieś na ląd, bo są porobione ścieżki. Z mroku wyłania się most i staramy się przycumować przed, widać cień jakiś kołków, do których można się przywiązać. Mimo, iż niewiele widać, manewr się udaje, bo prąd rzeki żaden. Tu zrobimy nocleg i powitanie załogantki otwierając drugą butelkę bimbierka Grzesia. Zauważamy, że szwankuje nasz przetwornik napięcia. Nie mamy 230V i nie możemy nic ładować, bo nie mamy ładowarek 12V. Zasypiamy w ciemności przy kapiącym deszczu.

Sobota, 30.08.2014

Dziunia i Tygrys pracują a my z Wojtkiem się byczymy.

Nad słuchuję czy wstawili czajnik i czy już robią kawę. Wiem, że oni wiedzą, że jedynym sposobem na wyciągnięcie mnie ze śpiwora jest zapach kawy. Nie mogę budzić się samoistnie, bo mogą się do tego przyzwyczaić. Rytuał poranny następuje w prawidłowej kolejności. 7 30 wypływamy i nie dopijam nawet pierwszej kawy, co jest wyjątkiem. Czujemy już delikatny podmuch wiatru, niebo zasnuwane chmurami. Trzeba uszczknąć coś z odległości. Płyniemy. Dziunia krząta się przy śniadaniu, których ja nie jadam, ale Wojtek jest ich amatorem. Wojtek ma paskudną naturę zbyt szybkiego zaznajamiania się z moimi kumplami, przez co tracę na zainteresowaniu, a on zyskuje. Parszywe życie.

Płyniemy w tempie zadowalającym, mijają kilometry i nie ma wodorostów. Pogoda się z czasem poprawia. Wojtek steruje, a ja staram się zrobić coś z prądem. Rozkręcam inwerter, suszę, ale nie daje to efektu. Jest sobota, więc ostatnia szansa, że coś uda się załatwić. Dzwonię do przyjaciela, zwanym „Tygrysem”.

– Kup mi nowy przetwornik. Za dwie godziny będę na moście pod Białosłiwem.

- Coś jeszcze?

- Czteropak.

Płyniemy połykając kilometry bez zadławienia i docieramy do mostu. Tu znajduje nas Tygrys z Rysiem – drugim kumplem.

Tygrynowi coś musiało się w głowie pomnożyć, bo poza inwerterem przywozi 4-paka X 4 i niewiele trzeba go namawiać by do domu wracał tratwą. Tak więc płyniemy od mostu 4-osobowo 4-objętościowym 4- pakiem (o przetworniku nie wspomnę) Żegnamy za mostem Rysia filmującego nas z góry – Do zobaczenia w Ujściu.

Ruszamy rzeką dalej, bo wprawdzie wiaterek jest, ale nie spowalnia aż nadto. W końcu sadzamy Tygrysa przy sterze, który prowadzi tratwę jakby się na niej urodził ze wspomagającą go Dziunią z wiosłem a sami zapadamy w NIRWANĘ. Możemy sobie popatrzeć na wysoki prawy brzeg doliny Noteci. Wojtkowi przypomina to trochę pogórze Dynowskie, mi bardziej wysoki brzeg Wisły za Płockiem. Tygrys steruje z wdziękiem i dobrze. Przestrzegamy go przed płynięciem zbyt blisko brzegu, ale ma swój rozum. My odpuszczamy i czekamy na przygodę, która w końcu się zdarza. Tygrys łapie gałąź i silnik gaśnie. Tratwa staje w miejscu, bo prąd jest teoretyczny.

Aha! – mówi Tygrys i od tej pory trzyma się środka nurtu.

Najlepiej uczyć się na własnych błędach, ale na cudzych wychodzi taniej. Płyniemy dalej i jest miło. Tzn. Dziunia i Tygrys pracują a my z Wojtkiem się bierzemy.

Brzeg nadal płaski i widać plan drugi i trzeci, woda w Noteci jakby nie płytka i pewnie będzie tak aż do Ujścia, gdzie wpływa wartka Gwda. Do Ujścia dzisiaj nie dopłyniemy, choć pewnie zbliżyliśmy się bardzo. Będzie przynajmniej wieczór gitarowy, bo gitarę Tygrysa wiozę już od Sanoka. Są ludzie, jest piwo, jest gitara. Cumujemy na 95 kilometrów blisko Ujścia. Jest przed zachodem słońca, więc możemy wybrać miejsce. Czekają nas miłe wieczory.

Niedziela, 31.08.2014

Z Dziunią było smacznie.

Poranne śniadanie na cztery osoby rozpoczyna dzień następny. To ostatni odcinek z leniwym nurtem, który trzeba pokonać by nie być uzależnionym od wiatru. Odbijamy od brzegu i znów NIRVANA, bo Tygrys przy sterze, a Dziunia sprząta, zmywa i gotuje. Dziś szybko mija czas, bo i rzeka trochę im bliżej Ujścia przyspiesza. Cały czas widoczny raz z lewej, raz z prawej komin ciepłowni. Rzeka meandruje po szerokiej dolinie z widocznymi wioskami rozłożonymi na wysokich brzegach. Mamy wrażenie jakbyśmy za chwilę wpłynęli w góry, ale to tylko szeroka dolina.

Jesteśmy w Ujściu dość wcześnie i szukamy mariny, która podobno jest nowo wybudowana. Cumujemy przy jakimś pomoście za mostem i zauważamy wtedy napis na stojącym nieopodal budynku MARINA i nr telefonu. Jak na razie nic prócz budynku nie przypomina tu nowości.

Pacholek do cumowania raczej z poprzedniej epoki i już wymyty przez powódź. Obok rura wypływająca z siebie jakąś zawartość, miejsca mało i nasza 8-metrowa tratwa dziobem dotyka ujścia rury a rufą krzaków. Na inną jednostkę miejsca brak. Na brzegu wywalona stara grochówka z kotła sprawia obrzydliwe wrażenie. Bierzymy się za sprzątanie i likwidujemy to obrzydlistwo śmierzące przy pomocy wioseł i saperki. Wstyd!

Mamy nadzieję na dostęp do prądu, WC i prysznic, który tu podobno jest,

jak twierdzą miejscowi, których spotykamy. Dzwonimy na podany telefon, ale ten milczy. Obchodzimy budynek dookoła, wszystko pozamykane, tylko dumnie widnieje tablica „Budowa przystani rzecznej i promenady w Ujściu”. Projekt z dofinansowaniem unijnym prawie 0,5 mln. zł. Skoro wybudowano coś dla nas, to chcemy z tego skorzystać. Dzwonimy na policję, może mają jakiś telefon lub adres osoby zarządzającej, ale jak zwykle, rozmowa ta sama (nie ma zagrożenia życia). Wyszukujemy telefon do burmistrza, ten odbiera, przeprasza i obiecuje załatwić sprawę. Nie załatwia, bo też używa tego samego martwego numeru. Otrzymujemy numer telefonu pani zarządzającej – nie odbiera. Zaczyna nas ta sytuacja irytować, bo dla kogo w końcu wydano te pół miliona złotych! W pomoście ich nie utopiono, o brzeg nie zadbano.

Miejscowi, z którymi rozmawiamy wskazują nam adres Pani Niezatapialnej, jak ją tu nazywają, więc Wojtek rusza do niej, by załatwić otwarcie obiektu.

Wraca zdenerwowany. Zaraz będzie, ale ty gadaj, ja mam dosyć.

Jakoś istotnie nadjeżdża samochód, z którego wysiada pani i po minie poznać, że ma nam bardzo za złe, iż przerywamy jej niedzielę. Nie ma sensu obsługiwać obiektu codziennie, bo i tak tu prawie nikt nie pływa, a telefon jest czynny tylko w godzinach urzędowania.

Dostajemy klucz od obiektu, mamy go zostawić w skrzynce prądowej, pani nie spisuje nawet naszych danych, po prostu wsiada do samochodu i odjeżdża.

Korzystamy z dobrodziejstw. Prysznic najwygodniejszy na całej trasie, jest i kuchenka. Ciekaw jestem ilu wodniaków skorzystało z obiektu, jeśli dostęp do tego jest tak utrudniony. Wpadają przyjaciele z Piły, córka Wojtka przyjeżdża ze Szczecinka i jest gwarno na naszej tratwie. Przybija też żaglówka z dwoma emerytami mieszkającymi w Niemczech i z braku miejsca cumuje do nas. Nasi sąsiedzi na łódce mają takie same odczucia co do mariny w Ujściu i nazywają to skandalem. Nam Wielkopolanom wstyd za Wielkopolskę.

Jako ostatnia z pokładu wieczorem schodzi Dziunia. Szkoda. Z Dziunią było smacznie.

W nocy siedzimy sobie jeszcze z sąsiadami z łódki „KARO” i gawędzimy do północy.

Poniedziałek, 1.09.2014

Deszcz jakby zdecydował się padać, pochmurno i ściemnia się

Wraz ze świtem znika Wojtek. Zaszywa się gdzieś w marinowej kuchence i przepisuje własne teksty. Ja przypominam sobie, że przede mną masa niezapłaconych rachunków więc otwieram komputer i też staram się coś zdziałać. O 10-tej jednak uświadamiam sobie, że do Czarnkowa, gdzie podobno marina jest bardziej przyjazna mamy 25 km. I kilka śluz, więc żeby zdążyć do 18 trzeba ruszać. Przerywamy pracę, czekamy jeszcze na sąsiadów aż od nas odcumują (też postanowili opuścić to smutne miejsce) i wypływamy. Pogoda pochmurna, ale nie pada. Brakuje trochę słońca by poroźświetlało trochę krajobraz. Rzeka kręci się z lewej na prawą, a niskie brzegi odsłaniają nam przyległe łąki. Nie widać już wysokich wzgórz, dolina jak pod Ujściem. Śluzy na Noteci co jakieś 5 km, więc od śluzy do śluzy mamy dobrą godzinę.

Na którejś ze śluz dowiadujemy się, że od dzisiaj śluzy są czynne tylko do 16-tej i w przedostatniej spływamy dokładnie o tej godzinie. Mamy do Czarnkowa jeszcze jakieś 8 km. i jedna śluzę. Śluzowy dzwoni do następnej czy nas przepuszczą po czasie i mamy informację, że śluzowy wyjeżdża do miasta, ale jak wróci to nas przepuści. Płyniemy dalej, choć pogoda się pogarsza. Nie, żeby jakaś ulewa, ot taki sobie kapuśniaczek, który zawilgaca wszystko. Meldujemy się na ostatniej śluzie gdzieś ok 17 30 i śluzowego nie ma. Widzimy w oddali domki Czarnkowa i czekamy spokojnie, bo odległość do miasta niedaleka, ale na śluzie cały czas cisza. Deszcz jakby zdecydował się padać, pochmurno i ściemnia się. Do Czarnkowa nie dotrzemy, bo pływanie wieczorne jest bezsensowne. I tak zresztą śluzowego nie ma i dziś pewnie nie będzie.

Nocujemy tuż przed śluzą i dzwoniemy do naszego byłego załoganta Jasia. Mieszka w pobliżu w Trzciance i chce z nami płynąć choć 1 dzień. Sprawdzamy pogodę – jutro pada. Decydujemy, że stopujemy w Czarnkowie, bo pogoda odbierze nam przyjemność. Załatwiamy wszystkie zaległe sprawy i pojutrze, gdy pogoda się poprawi, popłyniemy z Jasiem, który akurat w ten dzień ma wolne.

Wtorek, 2 09 2014

Nic nas nie zmoże, jeno sen.

Rano czeka nas otwarta śluza, ale do Czarnkowa 3 km więc nam nieśpieszno. Piję pierwszą kawę gdy śluzowy woła, że od Czarnkowa idzie łódka. Trzeba szybko wpływać do śluzy więc odstawiamy kawę i bierzemy się do roboty. Do mariny wpływamy jeszcze przed dokończeniem pierwszej kawy i na samym jej początku widzimy bosmana krzyczącego

– Cześć Ziomale!

Pomaga nam przycumować między łódkami, których jest tu sporo włącznie ze znaną nam „Karo”. Ziomal - Bosman pochodzi z Orzechowa. To faktycznie nasze strony. Podłączamy się do prądu o zaczynamy urzędowanie. To bardzo przykry moment, bo płacę zaległe rachunki i widzę jak obniża się poziom mojego konta- zupełnie jakbym śluzował.

Odwiedza nas niespodziewanie wiceburmistrz Czarnkowa, by poznać nas osobiście i obejrzeć tratwę. Miły gość, ale strasznie zajęty , bo lata po terenie i nie znosi siedzieć za biurkiem, więc nie spędza u nas wiele czasu. Czas mija i w końcu załatwiam wszystkie sprawy. Pora na obiad, ale po wizytach pilskio-szczeciniańskich masę jedzenia zostało i wystarcza podgrzać wybrane. Za mariną stacja paliw, więc chodzimy z Wojtkiem na 3 razy z małymi kanisterkami zrobić uzupełnienie. Ziomal proponuje taczki, ale Wojtek woli sumować kilometry. Paliwo zgromadzone, więc czas na miasto. Nie wychodzimy. Dojeżdża do nas Zbyszek (komandor spływów, na które z Wojtkiem jeździmy) z ciastem, więc pogaduchy z ciastem przy kawie i to w środku, bo zgodnie z prognozą pada.

Zbyszek odjeżdża, a my w miasto zaopatrzeni przez Ziomala w klucz od Mariny, bo nie wiadomo o której wrócimy. W marinie jeszcze spotykamy Jarka kapitana żeglugi rzecznej, który właśnie wrócił z pływania po Zalewie Koronowskim. Prowadzi nas do baru z piwem, gdzie siadamy i wdajemy się w rozmowę. Janek ma wiele wiadomości, które nas interesują i opowiada chętnie, szkoda, że gwar (mistrzostwa jakieś na ekranie zainstalowanego w barze telewizora.) nie pozwala na swobodną rozmowę, bo pytań mieliśmy wiele. Telefon od załoganta Jasia. Jest już w Czarnkowie i to ze swoim przyjacielem z Wrocławia -Łukaszem. Chcą się zamustrować na Myrdyrdę.

Żegnamy Janka i jego opowieści o rzekach z żalem i z nową załogą lądujemy na Myrdyrdzie. Rozpoczynamy męski wieczorek zapoznawczy przy pomocy przywiezionej pigwówki i obowiązkowo bimberku Grzesia z Przemyśla

Nic nas nie zmoże, jeno sen.

ŚRODA 3-09-2013

- Pamiętaj jak wygląda kobieta?

Do przejścia pierwsza śluza i to do 16-tej. Musimy dojść do Wielunia, bo stamtąd Łukasz i Jasiu mają załatwiony transport. Wyływamy więc bez szczególnej zwłoki. Znowu mamy wakacje, bo każdy kto się przysiadła chce sterować a nam w to graj. Pogoda wymarzona: jest słońce i niewiele chmur na niebie. Ziomal żegna nas przy wyjściu i płyniemy. Za Czarnkowem zaczyna się najpiękniejszy widokowo odcinek rzeki licznymi wzgórkami zalesionymi lub nie, z łąkami na prawym brzegu. Zupełnie jakbyśmy wpływali na pogórze. Sosny prawie wchodzą do wody. Zaczyna się Puszcza Notecka. Nasycamy się tymi widokami gdy Jasiu i Łukasz pracują. Mijamy kolejne śluzy i to bardzo sprawnie, bo śluzowi przekazują sobie informacje o naszej jednostce. Dziś wymarzony dzień do pływania. W południe Jasiu rozpala grilla i jest to pierwsze grillowanie w trakcie płynięcia. Trochę zgłodnieliśmy, więc obiadek się przyda. Trochę dziwią się na śluzach widząc dymiącego grilla i dymiące kiełbasy, ale dla nas to sposób na dotarcie do celu bez pustego żołądka.

Z każdą śluzą rzeka robi się zwawsza. Już nie czujemy się jak na odcinku Nakło-Ujście, gdzie jak na Wiśle, przynajmniej jeśli chodzi o prędkość już nie można towarzyszyć nam na brzegu spacerem, ale potrzebny jest szybki marsz. Telefon od Krysi C. Składa życzenia. Zdąży zanim zamoczę nową komórkę w trakcie czyszczenia komór tratwy. Uświadamia mi, że istnieją poza Myrdyrdą kobiety.

- Pamiętaj jak wygląda kobieta? - pytam Wojtkę

- Jest jak człowiek ale trochę inna - odpowiada

- Chyba nie ma steru - konkluduję odkrywco

Na czwartej śluzie orientujemy się, że do następnej mamy 5 kilometrów i nie damy rady przejść o czasie. Dostajemy jednak telefon... Jasiu dzwoni. Pani poczeka na naszą tratwę i przejdziemy do Wielunia, który jest tuż za śluzą. Tak się też staje i cumujemy pod mostem w Wieluniu, gdzie zaraz zjawia się kolega Jasia, który ich podwiezie do samochodu. Żegnamy się... Szkoda, że tak krótko byli.

Głupio nam z Wojtkiem stać pod mostem, i czas jeszcze dobry, choć po 16-tej. Płyniemy dalej mimo słońca które świeci nam w oczy. Docieramy do następnej śluzy w Drawskim Młynie i tu postanawiamy zanocować.

- Mieliście być jutro! - mówi śluzowy.

- Zbyt ładna pogoda była - odpowiadam

Miał już informację z poprzedniej śluzy.

CZWARTEK 4-09-2013

Wojtek zauważa w pewnym momencie zmięć.

Trzeba pójść przez śluzę. Następnie pomostem nad kaskadą, czyli progiem wodnym. Skręcić w lewo i obejść starorzecze Noteci, wspinając się na górkę za którą jest 500 metrów przez las (Puszcza Nadnotecka) i już jest sklepik i stacja paliw.

Tak czynimy z samego rana i uzupełniamy paliwo. Przed nami zostały tylko dwie śluzy. Ta w Drawskim Młynie i za 5 kilometrów w Krzyżu. Ze względu na zakupy nie wypływamy najwcześniej, ale pogoda nam sprzyja, a wiatr jakby nam chciał pomagać.

Płyniemy przez Puszcę Nadnotecką z sosnowymi lasami, które starają się czasem wejść do rzeki. Czasem lądujemy pod wysokim brzegiem, jakbyśmy byli w górach. Czasem widzimy rozłożyste łąki z zżętym sianem. Pasące się krowy, osady rozłożone na wznoszących się brzegach doliny. Nurt nas niesie szybko. Śluzy już go nie hamują i woda zdecydowanie czystsza. Wykorzystujemy ten dzień bo piękny, słoneczny i z przyjaznym wiatrem. Znikają wzgórza brzegów doliny i jest teraz równinnie. Szeroka ta dolina Noteci i zaczyna być dzika, bez śladów miejscowości. Czasem wygląda jak kanał z wysokimi trzcinami, ale widać nad nimi i rozległe łąki łąki.

Jej końcówka to szeroka dolina z brzegami nieprzystępnymi i nawet trzciny porasta bluszcz.

Jest cisza i tylko gdzieś w dali słychać skrzeczenie żurawi, których tu więcej niż czapli. Są kormorany, ale już nie w stadach i całkiem niemało jastrzębi i bobrów, które spłoszone wskakują przed nami do wody. Nad brzegami malownicze stare uschnięte drzewa, chętnie z resztą obsiadane przez ptactwo.

Czas mija a pływanie jest spokojne i sycące oczy.

Nurt nas niesie bystro, więc silniczek tylko koryguje psoty wiatru. Wojtek zauważa w pewnym momencie żmiję. To tylko zaskroniec, który nie wiadomo jak u nas się znalazł i stara się wydostać. W końcu odnajduje drogę i nas opuszcza. Mimo sporej odległości mamy szansę osiągnąć Santok. Cel pierwszy i główny naszej podróży.

To już tysięczny kilometr! Jest tam przystań w której chcielibyśmy się zatrzymać. Do Santoka dochodzimy razem z zachodem słońca. Tu zostaniemy do jutra. Przeptynęliśmy 54 kilometry. Umożliwił nam to szybki nurt, pogoda i sprzyjający wiat

Piątek, 05.09.2014

okolice Santoka to uczta dla oczu i jeden z najpiękniejszych odcinków polskich rzek

Z rana oglądamy czego nie zauważyliśmy nocą. Szerokie i długie nabrzeże, zagospodarowane wspaniale. Przystań wprowadzie bez pomostów, ale z nabitymi solidnymi pachołkami, do których można się uwiązać.

Wyżej zadbane i nowy obiekt, zadaszenia, sanitariaty i kilku pracowników przy upiększaniu tego terenu. Szykujemy nasze materiały reklamowe i wybieramy się na spotkanie z Wójtem. Santok to podstawowy cel naszej podróży i właśnie został osiągnięty.

Wójt nas przyjmuje b. miło i następuje wymiana promocyjnych materiałów. Nie chcemy zabierać dużo czasu, bo interesanci co rusz zaglądają. Jeszcze tylko sesja fotograficzna i ruszamy na wieżę Santoka, skąd rozciąga się

panorama na całą dolinę Warty i Noteci, i oglądamy Puszcę Nadnotecką, którą owe rzeki obejmują.

Panorama iście imponująca. Całe okolice Santoka to uczta dla oczu i jeden z najpiękniejszych odcinków polskich rzek. Z lewej strony rozległe płaskie łąki, z prawej wzgórze wchodzące w rzekę z wzniesionymi wzdłuż brzegu domkami. Nasz nastrój wzmacnia doskonała słoneczna pogoda.

Wyżywamy o 11-tej, bo o 13 jesteśmy umówieni z Pawłem – kolegą z liceum na nabrzeżu. Pomoże nam zatankować paliwo. Pociągiem z W-wy ma przyjechać Hanka, której nie udało się wypłynąć z nami z W-wy. Teraz przepłynie choć do Kostrzyna, by na poniedziałek być w pracy.

Hanka jest młodszą siostrą Dziuni i strasznie jej zazdrościła płynięcia. Teraz spełni swoje marzenie. Dobijamy do Gorzowskiej promenady. Paweł już na brzegu gotów. Łapie cumę i zaprasza na obiad. Wojtek wcześniej jednak wykorzystuje jego samochód by zatankować paliwo.

Siadamy z Pawłem przy obiedzie, bo Wojtek znów wyskoczył gdzieś na miasto załatwiać swoje sprawy. Sadowię się pod parasolem na trasie dworzec PKP a Myrdyrdą, bo za chwilę powinna tu dotrzeć Hanka jadąca od Krzyża pociągiem. Paweł zapomniał już jak wygląda urlop i bardzo nam zazdrości czasu. Cóż, własna firma niekoniecznie daje swobodę. Pojawia się Wojtek z Hanką, która siedziała od godz. na tratwie, bo poszła dolną promenadą i nie wpadła nam w oko.

Paweł znika do swoich obowiązków, a my już w trójkę odbijamy od przepięknego gorzowskiego nadbrzeża i po paru kilometrach dopływamy do znanej nam z zeszłego roku Mariny. Po krótkiej dyskusji (przy naszej różnicy zdań z Wojtkiem decyduje Hanka) zostajemy tu na noc. Dzwonię do bosmana i ten za 15 min. się zjawia.

- Byliście tu w zeszłym roku – poznaje.

Poznaje nas też Marek -kapitan cumującej tu „Wielkiej Czwórki” i jest bardzo rad wypytując o trasę. Siedzimy sobie przy piwie rozmawiając i z wodniakami, i ze sobą. Miły ciepły wieczór, tylko Hanka cały czas nie może uwierzyć, że płynie tratwą.

Sobota, 06.09.2014

Wyciągamy narzędzia zbrodni. Młotek, piła, nóż i siekiera

Wy płynemy. Cudna bezwietrzna aura.

Przychodzi Marek z mapą i zachęca do zmiany trasy przez służę wannową na terenie Niemiec. Podobno niesamowite wrażenia. Widząc nasze niezdarne działania przy próbie wyjścia uruchamia swoją „Wielką Czwórkę” i na cumie wyciąga nas na nurt Warty. Robi kilka okrążeń i proponuje wykonanie zdjęć z jego łódki. Podpływa a Wojtek z aparatem wchodzi na jego pokład. Mamy sesję fotograficzną. Hanka dumnie przeży pierś (piersi) bo za sterem i widać, że nie może się nacieszyć z faktu pływania i to jeszcze za sterem.

Za Gorzowem znikają wzgórza i pojawia się równinny krajobraz z niewysokimi brzegami. Płyniemy dalej i tylko gdy spoglądamy wstecz widzimy wzgórza i na ich tle mosty i wysokie budynki Gorzowa.

Gorzów tracimy z oczu po 12 km. Hanka przy sterze, więc ja i Wojtek mamy czas dla siebie. Sterowanie idzie jej całkiem sprawnie tzn. szło by, gdyby bez przerwy nie brała aparatu do ręki, bo wszystko chce uwiecznić, bo za chwilę przecież minimy. Jeździmy więc po rzece sinusoidą, jakby się opila z rana jakiś oparów. Co chwilę wykrzykuje

- Oh! Widzieliście?

- Eeee, czapla – odpowiadamy.

No cóż, za nami 2 miesiące pływania i ponad 1000 km., dla niej dzień pierwszy.

– Bóbr, bóbr!!!

- Kołek z wody wystaje.

– Patrzcie, patrzcie!!!

- Steruj, bo zaraz w krzakach będziemy!

Przystanek robimy w Świergocinie pod mostem, bo żar z nieba się leje a płyniemy przez tereny niezamieszkałe. Sklepik odnajdujemy tuż za mostem z miłą obsługą. Wracamy na tratwę z lodami. Krótka dyskusja sjeżdżać czy pływanie. Wojtek jak zwykle ma przeciwne zdanie do mojego, więc z opresji ratuje nas Hanka, która dziwi się, że ma głos. Trzecia osoba na tratwie daje jednak komfort.

Wy płynemy na ostatnie kilometry po Warcie i przed nami roztaczają się tak cudnie krajobrazowo widoki, że możemy je jedynie porównać z Wisłą choć

są zupełnie inne w charakterze. Rozległe łąki z ... trawy z licznymi pojedynczymi drzewami. Niskie brzegi pozwalają na obserwację głębi łądu. Ta rozległa dolina lewobrzeżna ma piaszczyste podłoże, które odsłania się czasem na brzegu. Czaple płochliwe nie dają się sfotografować i większość ptaków widzimy już w locie a nie przesiadujących nad brzegami. Wojtek opowiada o mijanych miejscach. Wymienia nazwy miejscowości, co mnie dziwi, bo zazwyczaj mnie się pyta.. A to ... pamiętasz? To gdzie było? Teraz sam wymienia Drawski Młyn, Drezdenko....

A Warszawa gdzie leży? – zadaję podchwytliwe pytanie

-Na Pradze – bez zająknięcia odpowiada Wojtek i dodaje

– Na Pradze Północ.

Na 15 km widzimy zmianę krajobrazu. Wpływamy w lasy. Nie chcemy opuścić tych widoków, które nam towarzyszyły przez kilkanaście km. Postanawiamy cumować zostawiając sobie pozostały odcinek na jutro. Wiążemy się do samotnej wierzby stojącej na skraju tej trawiastej równiny. Rozpalamy grilla. Zostały kawałki kaszanki, kiełbasy, boczek. Siedzimy na tratwie w cudownej okolicy w świetle zachodzącego słońca, mamy ognisko (grill), piwo i niedokończony wciąż bimberk Grzesia.

Hałas motorówki, która podpływa do nas. Zapraszam na grilla, jest kaszanka, kiełbasa. Odmawiają. – Mamy dla was rybę...i wyciągają, a właściwie wyhaczają z wędki całkiem spory kawał suma. Odpływają, a my mamy problem.

Grill jeszcze się pali, ale sum żyje.

Telefon Wojtka do rodziny:

- Jak zabija się suma?

- Co się z nim robi?

Hanka twierdzi, że ona przyrządzi, ale musi być trup.

Wyciągamy narzędzia zbrodni. Młotek, piła, nóż i siekiera. Co tam rybka, szybko się uporamy.

Podnoszę siekierę by dokonać aktu zabójstwa i ... sum patrzy mi w oczy. Widziałem kiedyś jak mi w takim samym momencie spojrzała w oczy kura mej ciotki. Tego nie da się zrobić. Prędzej bym Wojtka walnął w łeb niż tę biedną nic nie winną rybę.

– Zabijcie ją, ona się męczy! – krzyczy Hanka.

– Ja odpadam.

Wojtek bierze młotek i wali rybę po jej wielkim łbie raz, ale skutecznie. Ja zamykam oczy i nabieram obrzydzenia do ludzi czyli do samego siebie. Co z nas za krwiożercze istoty żeby zjadać inne. Rozczulamy się nad zwierzętami otwierając puszki z tuńczykiem. Co za hipokryzja!

Hanka oprawia rybę, ja podkładam węgiel na grill, a Wojtek nie wie, czemu rozpala ognisko na brzegu. Dobrze, że rozpala bo za chwilę okazuje się, że brakuje węgla na grill i przenosimy się z sumem nad ognisko.

Wojtkowi dzisiaj rzeczywiście przypominają się harcerskie czasy. Jest nostalgiczny i milczący. Leżymy na ciepłej jeszcze ziemi nagrzanej przez lato przy ognisku podpiekając darowanego Suma. W dali ryk krów, kumkanie żab i od czasu do czasu chichot koni, żurawie zbierają się w sejmiki, (te to dopiero dają czadu,) gęsi też nie przelatuja bezgłośnie. Przyroda -cholera !

Niedziela, 07.09.2014

Od ukraińskiej granicy przy Medyce do niemieckiej przy Kostrzynie

Nie spieszymy się z rana. Będąc przekonany, że wszyscy już na nogach wstają i widzę śpiącego Wojtkę...ale nie wracam do łóżka. Zasiadam do komputera i zgrywam zdjęcia by wysłać Natalii filmiki, które czasem kręciłem.. Hanka dzisiaj nas opuszcza i wyśle je zgrane na płytę.

Wpływamy w krajobraz szerokiej rzeki obrosniętej trzciną i wierzbami i nie widzimy już rozległych łąk, tylko malowniczo powyginane wierzby na łagodnie wznoszących się brzegach. T

o krótki odcinek, ale tak założyliśmy by załogantce umożliwić normalny powrót do domu. Będziemy w Kostrzynie o 13, a pociąg ma o 15-tej. Przed samym mostem zmieniamy decyzję i zamiast w marinie cumujemy w porcie pasażerskim przy jego nabrzeżu, tu dwa kroki do miasta. W

ychodzimy na rozpoznanie z Hanką i konsumujemy coś w barze nieopodal. Wojtek dociera do nas z walizką Hanks i odprowadzamy ją na dworzec, a wracając robimy zakupy na 2 dni i paliwo, które powinno nam już wystarczyć do Szczecina. Nie chcemy nocować pod mostem, więc ruszamy dalej.

Zaledwie 2,5 km udaje się nam popłynąć, bo łapie nas burza, więc robimy przerwę, by ją przeczekać, jesteśmy tuż przed Odrą, mamy do niej zaledwie 500 m.

Wojtek natychmiast zaprzyjaźnia się z Morfeuszem, ja biorę się za pisanie. Po małej godzinie niebo nad nami się otwiera i przestaje padać. Klaruję cumy i budzę Wojtkę. Wypływamy, choć obok słychać grzmoty burzy, która przeszła za prawy brzeg. Warta, jakby nie chciała już nad morze, bo leniwie niesie, a może Odra zazdrosna nie chce jej użyczyć własnego koryta. Fakt, że bardzo wolno płyniemy i dopiero na połączeniu rzek, gdy wpływamy na Odrę nabieramy ostrego przyspieszenia.

Po obu stronach słupki graniczne, rzeka rozlewa się szeroko jak Wisła, ale wygląda zupełnie inaczej. Oznakowanie szlaku zdumiewa. Częste boje i znaki brzegowe. Niemiecka strona w trzinach, polska z przyjaznymi brzegami mnogością wędkarzy i łąkami daleko sięgającymi w ląd.

Z czasem dwa brzegi upodabniają się (prócz wędkarzy). Odra sprawia wrażenie rzeki cywilizowanej. Prócz znakowania są i ostrogi z szeregiem przyjaznych zatoczek i w jednej z nich postanawiamy zacumować. Tu spędzimy noc, która zapada teraz znacznie szybciej niż na początku podróży. Goni nas jesień i nijak przed nią uciec. Ślady widzimy już od dłuższego czasu. Zaczynamy sobie uświadamiać jak wielki szmat drogi przebyliśmy. Od ukraińskiej granicy przy Medyce do niemieckiej przy Kostrzyniu – i to nie koniec.

Poniedziałek, 09.09.2014

-Albo w międzyczasie wojna była i znów jesteśmy pod okupacją, albo Odra wpływa do Nysy i wszystko wtedy gra.

Świat zamglony, ale bezwietrznie. Wychodzimy na rozległe łąki, aby nasycić oczy widokiem. Zapowiadano zmienną pogodę, więc 8 39 ruszamy. Wtedy jest spokojniej, choć lekki chłodek. Odra sama w sobie szeroka, ale niosąca swym nurtem pełno śmieci, gałęzi, kłód i bez przerwy musimy je odganiać, by nie dostały się w silnik.

To jedyna uciążliwość, bo nurt niesie nas żwawo. Żałujemy że pułap chmur niski. Ilość ptactwa w powietrzu i na brzegach spora. Ok. 10-tej przebija się słońce i rozświetla widoki po obu stronach rzeki. Po polskiej stronie wzgórza zalesione z naturalnymi łąkami dzielącymi je od rzeki.

Na odcinku 25 km. Spotkaliśmy 5-6 par orłów. Niektóre udaje się sfotografować. Czaple najbardziej płocze, łabędzie, kormorany, rybitwy i tysiące czajek latające gromadnie. Wędkujących mało, a jeśli to raczej po polskiej stronie.

Odra czasami przypomina nam przedwczorajszy dzień na Warcie z tym, że w dużo większej skali. Jakby sama szerokość rzeki spotęgowała rozległość łąk po obu brzegach i co rusz zbierające się do odlotów ptactwa zbierające się w gromadach. Wojtek zauważa nagle na pieńku coś skrzącego. Pieniek wystaje przy brzegu z wody i faktycznie coś na nim błyszczy w słońcu.

– Stefan, spójrz, kotwica?

- Tak wygląda – odpowiadam i sięgam po lornetkę

- Kotwica.

- Na pewno? – dopytuje Wojtek

- Na pewno. Widzę główkę i dziurkę do liny.

Zapewne ktoś zgubił ją przy brzegu i gdy woda opadła osiadła na kołku i czeka by ktoś ją zabrał. Wojtek biegiem leci do silnika by podkręcić obroty, gdy ja biorę się za ster. Z mozołem, ale idziemy w górę rzeki i gdy już prawie mamy to srebrzące się coś – kotwica odlatuje. To była czapla, która suszyła skrzydła, a dziurka do liny okazała się okiem.

To drugi taki przypadek dzisiaj. Wcześniej wzięliśmy słupy starego mostu za ogromne pnie drzew. Zdziwiło nas gdy zobaczyliśmy jak korony odjeżdżają tym pniom w bok.

Na niebie znów jakiś drapieżnik. Tym razem inny. Sokół lub jastrząb.

Sprawdzimy to na zdjęciach.

Widzimy most drogowy z mapy wynika Neugliezen – Osinów Dolny. Za mostem na prawym brzegu zatoczka, coś jak Marina. Zgłodnieliśmy , więc cumujemy.

Wyjście na brzeg wita nas od razu mnogością budynków, wiat i kontenerów, jakieś targowisko. „Oder centrum Berlin”, „Markethalle.”, Tankstelle, itd. Patrząc na ceny...piwo puszka =1. Rany boskie! Istny raj. Sprzedawca pyta

-Wunschen Sie Zigaretten?

...Cholera! Coś nie tak. Wojtek idzie za mną i otwiera oczy

– Gdzie my jesteśmy! Na lewym czy na prawym brzegu?

-Na prawym! Wiem, w którą stronę skręcałem! - i pokazuję dla pewności w którą.

– Kurcze! Albo w międzyczasie wojna była i znów jesteśmy pod okupacją, albo Odra wpływa do Nysy i wszystko wtedy gra! Jest opcja, że w Kostrzynie skręciliśmy nie w tę stronę, ale to chyba niemożliwe.

Przy następnym „Wunszen Sie...” odpowiadam, że „iś niś szpreche po niemiecku” i okazuje się, że facet odpowiada czystą polszczyzną. Piwo też nie jest po 1 zł tylko 1 euro.

Spodziewaliśmy się maleńkiego spokojnego miasteczka a trafiliśmy na „Jarmark Europa”.

Zjadamy coś, bośmy głodni, robimy zakupy paliwowe i zmykamy z tej strefy euro.

Na wodzie flauta i słonecznie. Przesuwamy się wzdłuż zachodzącego obok słońca. Teraz brzegi niemieckie z wystrzyżoną na wałach trawą i ścieżką rowerową stają się bardziej przyjazne od polskich porośniętych trzciną.

Dopływamy w końcu do Bielinka i tu stajemy zacumowani przy zatoczce, ale od strony rzeki. Wszystkie drzewa nadgryzione, niektóre powalone.

Jesteśmy w królestwie bobrów. Nocą będą wizytować pokład. Dziś niczego więcej się nie spodziewamy. W dali krzyki gęsi, żurawi i szczekanie psów.

Wtorek, 09.09.2014

Murawy Ciepłolubne.

Nieśpiesznie wstajemy, bo w jeden dzień do Szczecina za dużo, więc dzielimy na dwa odcinki. Pogoda sprzyja. Jeszcze tylko trochę zdjęć z postoju i ruszamy. Zachwycamy się prawym, polskim brzegiem, który zmienia się w wysoki, zalesiony. Mijamy kolejne miasteczka. I znów na niebie obserwujemy orły, łabędzie i czaple. Przeglądam mapę i zaraz za m. Zatoń Dolna widzę kompleks leśny z intrygującymi nazwami (Diabelski Most, Wzgórze Uciech, Murawy Ciepłolubne, itp.) Zamierzam dowiedzieć się co

zacz. Mimo oporów Wojtka wymuszam cumowanie i ruszam w las. Jest to park założony onegdaj przez Annę von Humbert. Nazywa się Dolina Miłości. Idę ścieżkami, które się wiją po zboczach i pnę się coraz wyżej. To nie park. Być może był, ale teraz to raczej dziki las z poprowadzonymi ścieżkami wzdłuż łągów, wąwozów, czy przez wzgórki. Teraz jest rozległy i przypominający ścieżki sudeckie. Wychodzę na górę i rozpoczynają się pola. Idę jeszcze kawałek i oczom moim otwiera się widok na następne miasteczko również położone na wzgórkach. Całość wymaga uporządkowania, ale jest bardzo dobrym terenem spacerowym a mnogość ścieżek i tras duża i monotonia nie grozi. Wojtek poszedł inną trasą, ale gdzieś w środku kompleksu się spotykamy i wracamy na tratwę. Płyniemy dalej mijając co jakiś czas pchacze z barkami lub motorówki. Trochę pogoda się zmienia. Chmury się obniżają i zaczyna mocniej wiać. Wstawiamy ziemniaki na obiad i gdy są gotowe zatrzymujemy się by zjeść spokojnie a w międzyczasie przeczekać wzmagający się nieprzyjemny wiatr. Dopływamy do miejsca, gdzie granica niemiecka odbija na zachód i oba brzegi robią się równie atrakcyjne. Z czasem pojawia się rosnący wąski pas trzcin brzegowych, który zabiera nam przyjemność poznawania rozległego krajobrazu.

Jest 18 -30, a do Gryfina zostało jakieś 8 km. Uparty Wojtek nie chce zwiększyć obrotów silnika a ja nie chcę się z nim kłócić. Pewnie zanocujemy w krzakach.

Wymuszam w końcu na Wojtku podkręcenie obrotów widząc zachodzące słońce i brak drzew między trzcinami, do których można by się uwiązać. Uzyskujemy jakąś większą prędkość, bo posuwaliśmy się raptem 2,5 do 3 km/godz. Zapewne rozlewająca się na wiele stron i koryt Odra spowodowała, iż woda zaczęła płynąć leniwie. Mijamy w końcu kominy elektrowni i widzimy w oddali Gryfino.

Jest po zachodzie słońca i mimo, że do nabrzeża przy którym widać zarysy przymocowanej łódki jest niedaleko, nie dochodzimy już do niego, ale cumujemy przy pierwszym napotkanym drzewie w zatoczce. Łądujemy na mieliźnie. Okazuje się, że to miejska plaża, ale już za późno by coś z tym zrobić. Zostajemy tak do rana.

Środa, 10.09.2014

Miasto energetyków bez energii. Szewc bez butów chodzi

Pada, nieprzyjemny wiatr. Mimo kapiącego deszczu spychamy tratwę z mielizny i po zaledwie 800 m. cumujemy do nabrzeża. Telefon do bosmana i ten zjawia się natychmiast. Mamy tu wszystko i w dodatku gratis. Nabrzeże powstało w tym roku z funduszy unijnych.

Nasz akumulator jest rozładowany a pochmurne niebo nie pozwala na uzupełnienie energii. Mamy dostęp do prądu, ale nie mamy odpowiedniej wtyczki. Wyruszamy z Wojtkiem w miasto w poszukiwaniu tego detalu. Miasteczko z nielicznymi zabytkami. Fragmenty murów obronnych, brama wjazdowa i Kościół, który jest jakby inny od znanych nam. Wnętrze jednonawowe z dwiema kolumnami i bez blichtru, z bardzo skromnym wyposażeniem. Tak jakby miał służyć jedynie modlitwie. Zwiedzamy dalej. Osiedle Energetyk, ulica Energetyków, klub Energetyk. Miasto jest zbiorem bloków mieszkalnych i jego wzrost zapewne wiąże się z Elektrownią nieopodal. Zachodzimy do interesującego nas sklepu i „z braku prądu sklep nieczynny” – głosi przyklepiona kartka. W następnym to samo. Za chwilę spotykamy otwarty sklep, ale spożywczy i słyszymy hałas działającego agregatu wystawionego przed sklep.

Coś kojarzę, że bosman mówił o planowanym wyłączeniu prądu do 15-tej. Jasny gwint! Miasto energetyków bez energii. Szewc bez butów chodzi.

Tułamy się od sklepu do sklepu obchodząc całe miasteczko i w końcu znajdujemy właściwą wtyczkę nieopodal miejsca cumowania naszej tratwy. W ten sposób za przyczyną jednej wtyczki zaznajomiliśmy się z Gryfinem.

W każdej marinie spotykamy się z dużą życzliwością i chęcią pomocy (no, może poza jedynym wcześniej opisanym wyjątkiem).

Zasiadamy do pracy z komputerem bo po 15-tej i prąd się pojawił. Od czasu do czasu ktoś się na nabrzeżu pojawia i rozmawiamy. Przybywa też redaktor miejscowej prasy i poświęcamy mu trochę czasu.

Dzwonię na adresy podane przez Bosmana do marin w Szczecinie i znajduję odpowiadającą nam. Szczecin to ostatni etap podróży.

Zdecydowaliśmy się nie wchodzić na zalew. Dla naszej jednostki bezwładnej z małym silnikiem fala i wiatr to duża przeszkoda, a widoki średnie, bo brzegi dalekie. To akweny dla łódek i stateczków. Czas kończyć długą podróż, która trwa już ponad 2 miesiące.

Wieczorem do nabrzeża cumuje wielka, wypasiona motorówka. Wchodzimy z załogą w rozmowę i znów Ziomał. Jest z Pyzdr i mamy tam wspólnych znajomych.

Za chwilę zaczepia nas facet na nabrzeżu

- Jesteście ze Słupcy? Ja też!

i wymienia nazwisko. Znamy brata.

-Pewnie się jeszcze spotkamy. Na wszystkich Świętych będę w Słupcy.

-Do zobaczenia na cmentarzu ! odkrzykuję ... i czuję jak ciarki wychodzą na spacer.

Wieczór kończymy obiadem w chińskim barze. Mieliśmy pracowity dzień i nie było czasu zjeść wcześniej.

Czwartek, 11.09.2014

Pirat drogowy na wodzie. Tak, jakby chciał nas staranować.

Kurs na Szczecin. Jeszcze z rana wizyta redaktora tutejszej gazety, który chce się a nami pożegnać i machający ręką bosman ze swojego okna.

Miła to była przystań i miasteczko z dużymi możliwościami turystycznymi, bo wody i kanałów mają w bród. Jeśli znajdą pomysł, będą mieli na nabrzeżu tłok.

Szeroka Odra płynie leniwie rozlewając się na wiele odnóg, a co rusz mijają nas jakaś barki. Trzeba się oglądać do przodu i do tyłu, i raczej schodzić im z drogi. Widzimy przepływające w obu kierunkach pchacze z 4-ma połączonymi barkami, a prędkość mają wielokrotnie większą od naszej.

Czaple i kaczki, i mewy towarzyszą nam na całej trasie, i znów orły. Niewiele kilometrów nam zostało i płyniemy nieśpiesznie. Trochę już bardziej milcząco, bo obaj wiemy, że coś się kończy.

Z dala widać holownik, który idzie całym pędem w górę rzeki. Będzie fala. Za

zakretem holownik zmienia kurs i wali wprost na nas. Jest daleko, jakiś 1 km. Nie rozumiemy, dlaczego przeskakuje na prawy brzeg. Tak, jakby chciał nas staranować. Zmieniamy kurs jeszcze bardziej na prawo, on też zmienia. Na 100 m. przed kolizją (zostałyby z nas łupinki) Wojtek podkreśla obroty na max i walę w poprzek rzeki na brzeg. Udaje się go minąć o 10 m.

Pirat drogowy na wodzie. Chciał nas chyba wystraszyć i świetnie mu się udało.

Wyhuśtało nas na tej jego fali, aż nam się cały pokład zalał.

Mijamy barki, motorówki, jachty i wymieniamy pozdrowienia. Im bliżej Szczecina tym ich więcej. Ogromne wycieczkowe niemieckie kolosy pozwalają nam się wykołysać na swojej fali i jesteśmy dla pasażerów wdzięcznym obiektem do uwiecznienia w aparacie.

Wpływamy w Szczecin, który jest rozległy i omijamy jego centrum idąc Regalicą. Wiele tu odnóg, bocznych kanałów, skrzyżowań.

Wpływamy wreszcie w odnogę prowadzącą do Jez. Dąbie. Pełno przystani niesamowicie zatłoczonych i to morskimi jachtami.

Z brzegu fotografują i okazują sympatię.

Wpływamy na Dąbie. Dla nas to już morze i faktycznie czujemy falę i wiatr. Cumujemy w marinie w doku do wyciągania łodzi.

Jedziemy autobusem do Dąbia na obiad i po powrocie staramy się załatwić transport powrotny.

Jest tu suwnica do wyciągnięcia, brak lawety. Telefon do naszego przewoźnika słupeckiego

-Mogę Was odebrać w poniedziałek.

Trochę nie za bardzo chce nam się płakać tak długo. Szukamy przewoźników na miejscu i z pomocą bosmanów sąsiednich marin dostajemy telefon .Dzwonimy do niego stojąc pod jego domem. Nie ma go i nie przewiezie nas, bo zajęty, ale zaraz porozmawia z kolegą ... i parę minut później oddzwania kontaktując nas z nim. Jutro kolega podjedzie i na wieczór będziemy w domu.

Trzeba będzie złożyć tratwę, wszystko umocować i załatwić dźwig do zdjęcia z samochodu na miejscu w Słupcy.

Rzeczy nie do załatwienia nie istnieją, istnieją rzeczy do załatwienia ...i to robimy.

Piątek 12.09.2014

Kochana Zuziu ! Dziadek przepłynął Polskę i wraca .

Jesteśmy na morzu i strasznie wieje, a fala uderza w tratwę przelewając się po pokładzie. W szparach słychać gwizd wiatru który całkowicie zagłusza pracę naszego małego silniczka, niesamowicie kołysze.

Budzę się . Ciężko wstać , bo kołysze i bez kawy zwala z nóg.

Wojtka brak. Czyżby wypadł za burtę ?...

Przecieram oczy i widzę że nadal stoimy w najbezpieczniejszym miejscu w marinie, z tym że wiatr od morza wzburzył rozległe jezioro i wali w nas fala. Słychać wiejący w szparach wiatr, ale silniczek uspokojony na swoim miejscu.

Patrzę na sterczące i chwiejące się wysokie maszty jachtów, które rzek nie widziały, jak starają się porysować topem przesuwające się obłoki. Wraca Wojtek. Wysyłał kartki do wnucząt. Moją też.

„Kochana Zuziu ! Dziadek przepłynął Polskę i wraca, a Ty już pewnie znasz pierwszą literkę...”

Zuzia w tym roku poszła do szkoły. To będzie jej pierwszy otrzymany list w życiu i niedługo potrafi go przeczytać.

Bierzemy się za pracę, by zdążyć na 14-tą. Mocujemy wszystko i chowamy do środka, aby w transporcie nic się nie przemieściło. Pozostało nam zsunięcie boków, by uzyskać transportowa szerokość. Ostatnio mieliśmy z tym trudności, ale udało się wykryć przyczynę. Trzeba najpierw przed składaniem wypuścić podwozie, a dopiero po złożeniu podnieść. Robimy tak, i tratwa składa się bezproblemowo – jak nigdy. Przy pomocy panów z mariny wciągamy tratwę na pasach do góry i wyjeżdżamy na brzeg. Czekamy na przewoźnika. Tratwa kołysze się zawieszona w górze mamy sposobność obejrzeć ją całą.

Zmarnowana bidulka z powyginanymi i poodrywanymi blachami, ale bez większych uszkodzeń. Normalnie – tratwa po przejściach i to widać. Na wiosnę zrobimy jej lifting i będzie noo... nie nowa, ale „na fleku”.

Przewoźnik jest o czasie i fachowo sam wszystko zabezpiecza. Wciskamy się do szoferki... a tu problem. Samochód zarejestrowany na 3 osoby, a kierowców 2. Właściciel przeprasza, ale dopiero dzisiaj zdał sobie sprawę, że jednym kierowcą przy tachografie przejechać się nie da. Wojtek nie ma ochoty jechać pociągiem. Jedziemy na dworzec i za 15 minut jest bezpośredni do Słupcy. Będę wcześniej niż samochód. Biorę plecak, Wojtek wciska mi jeszcze jakąś kanapkę i w ostatniej chwili ładuję się do pociągu. Wsiadłem jak stałem. Nie było czasu się przebrać, bo wszystko zamknięte w naszej tratwie. Cóż, może nie wyproszą z pociągu. Przejeżdżam przez kraj i widzę po drodze służbę na Noteci w Drawskim Młynie, którą tak niedawno przepływaliśmy, brzeg Warty w Obornikach, gdzie cumowaliśmy w zeszłym roku. Niby jestem zadowolony z przepłynięcia najdłuższą możliwą trasą w moim kraju, ale dla czego mi tak smutno?

W Słupcy jestem po 17-tej i od razu załatwiam dźwig do rozładunku. Samochód będzie ok. 20-tej, więc mam trochę czasu. Jest 20-30 i są. Dźwig już rozstawiony i oczekujący. Rozładunek idzie sprawnie. Zostawiamy tratwę na terenie nic o tym niewiedzącej „Szopenierii” i tym razem sen będzie już we własnym domu.

Jutro witają nas nasze maturalne koleżanki. Są zamówione stoliki w „Zapiecku” i zapewne przygotowały jakieś niespodzianki. Doceniam trud z pisanem dziennika. Nic nie trzeba będzie opowiadać. BĘDĘ BYŁ !

